

arena12

Pismo Międzynarodowego Stowarzyszenia Polskich
Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów



Czesław Szczurkowski | Halina Godecka
Ewa Michałowska-Walkiewicz | Henryk Musa
Laura Ślepowrońska | Bolesław Bieniasz
Radosław Wiśniewski | Małgorzata Południak
Patrycja i Agata Obarewicz | Gitta Rutledge
Bożna Sroka | Stefan Godecki



**OGÓLNOPOLSKI
STRAJK KOBIET**



Koleżanki i Koledzy!

zmienił się świat wokół nas. Cisza i pustka pierwszych tygodni pandemii robiła ogromne wrażenie nawet na twardej klawiaturze. Wirus pokrzyżował nam plany naszego kolejnego spotkania tym razem nad Bałtykiem.

Cóż, jesteśmy bezsilni, ale możemy być ostrożni i uważni. Ten czas nie powinniśmy uznawać za stracony. Wiem, że jedni zabrali się za remonty, inni za pisanie lub wyszukiwanie starszych materiałów. Nie byliśmy beczkami i zastygli w swoich domach w oczekiwaniu na lepszy, bezpieczniejszy czas.

12 Arena jest tego najlepszym przykładem. Bolesław Bieniasz napisał wspomnienie o Krzysztofie Pendereckim, który zmarł w tym roku. To niepowetowana strata dla kultury na świecie. Pamiętam profesora z czasów kiedy był rektorem Akademii Muzycznej w Krakowie i jak bardzo mu zależało na młodych talentach, żeby ćwiczyli i uczestniczyli w programach swoich studiów muzycznych. To długa historia, ale zapamiętałam ją dobrze gdy profesor poszukiwał w akademikach niesforne i wybitnie zdolnego studenta.

Z Florencji mamy formę pamiętnika młodej dziewczyny, która utknęła we Florencji bez możliwości powrotu do kraju. Zdjęcia, które otrzymaliśmy są zasmucające. Miejsca, które tętnią życiem przez cały rok – we Florencji w restauracji czy kawiarni zamawia się stolik na miesiąc, dwa wcześniej – świeciły pustkami.

Piękne teksty otrzymaliśmy od Agaty Obarewicz, które warto przeczytać i do nich powracać. Wstrząsający jest także artykuł o Kurdach, o których nieczęsto pamiętamy, i których kulturę znamy stosunkowo słabo. Wszystko zilustrowaliśmy optymistycznymi wierszami i zdjęciami z ubiegłych wakacji.

W tym roku przyjęliśmy honorowy patronat nad wydaniem wspomnień pana Czesława Szczurkowskiego. Nie mogliśmy pojechać nad morze, ale możemy poznać unikatowe wspomnienia uczestnika pewnej szkolnej wycieczki do Gdyni w latach 30-tych XX wieku.

Z tego samego okresu pochodzi wycinanka pani Lucyny Sulikowskiej wykonana z papieru w jaki kiedyś był pakowany papier fotograficzny. Znalazłam je po 90 latach nietknięte. Wiedocześnie tak miało być. Czekają by znaleźć miejsce na naszej okładce.

Za nadesłanie, materiałów do tego wyjątkowego numeru Areny, wszystkim autorom, którzy przyczynili się do jego stworzenia serdecznie dziękuję i życzę miłej lektury z nadzieją, że spotkamy się w lepszych okolicznościach za rok.

Wszystkim nam życzę dużo zdrowia i pogody ducha w przetrwaniu tych trudnych dni. Musimy wierzyć, że na pewno będzie lepiej.

Halina Godecka
Prezes Zarządu Stowarzyszenia

Wspomnienie z Gdyni

Czesław **Szczurkowski**

5

Dziennik zarazy

Laura **Ślepowońska**

9

**Zanim dłoń
pokieruje dżutem**

Bolesław **Bieniasz**

12

**KRZYSZTOF
PENDERECKI,
in memoriam**

Bolesław **Bieniasz**

16

Życiorysy i biogramy

Bolesław **Bieniasz**

21

**Wydawało się wam,
że to Polska i Polacy
mają dziejowo przep...?
Powiedzcie to Kurdom**

Radosław **Wiśniewski**

23

Podróżowanie w przestrzeni

Małgorzata **Pofudniak**

25

**Rodzinne wiano,
ważna tożsamość**

Wywiad

z Agatą i Patrycją **Obarewicz**

29

Górki Klimontowskie

Ewa **Michałowska-Walkiewicz**

34

Wiersze

Gitta **Rutledge**

36

Z listy wspomnień

Bolesław **Bieniasz**

39

Wiersze

Henryk **Musa**

40

Pocieszenie

Bożena **Sroka**

42

**Pusta Florencja i zeszłoroczne
wakacje w Maroku**

Stefan **Godecki**

43

Wiersze

Bożena **Sroka**

47



Międzynarodowe Stowarzyszenie
Polskich Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów
z Siedzibą w Malme
arena

redakcjaarena@malme.eu

www.malme.eu

Redaktor naczelna

Halina Godecka

Zespół redakcyjny

Członkowie Stowarzyszenia

Opracowanie graficzne

Tomasz Kowalski

© MSPDPiA, 2017

Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i poprawek w publikowanych tekstach, a także do selekcji i uzupełnień materiału ilustracyjnego. Nadsyłane fotografie, rysunki itp. w skali 1:1 powinny mieć rozdzielczość minimum 300 dpi.

Wspomnienie z Gdyni



Czesław Szczurkowski

Polska

Mieliśmy w tym roku się spotkać w Trójmieście, a przede wszystkim w Gdyni. Niestety wirus pokrzyżował nasze plany, ale głęboko wierzę, że wszystko przed nami. Dysponujemy wspomnieniami pana Czesława Szczurkowskiego, który opisał swoje młodzieńcze wspomnienia z pierwszego pobytu w Gdyni w 1937 roku. Za zgodą autora przytaczamy je poniżej wraz ze zdjęciem z Jego prywatnego archiwum. Tekst pochodzi z książki Jego autorstwa pt. „Przez życie”.

Pewnego dnia na lekcję przyszedł jeden z kolegów i oświadczył, że rozmawiał z panem Eugeniuszem Kwiatkowskim ówczesnym ministrem skarbu II Rzeczypospolitej. Powiedział nam, że minister obiecał mu wycieczkę do Gdyni. Była to akurat lekcja z wychowawcą, który zainteresował się wypowiedzią kolegi i poprosił żeby ten opowiedział szczegółowo jak to było z tą rozmową. Kolega opowiedział:

— Wracalem wczoraj z lekcji i wstapilem do ratusza, w którym urzaduje teraz minister Kwiatkowski, który oprócz Gdyni sprawuje nadzór tez nad COP – (Centralny Okreg Przemyslowy). Bardzo prosilem pana ochroniarza zeby mnie wpuscil do pana ministra. Trwalo to chwile. Pan minister przechodzac zainteresowal sie i powiedzial do ochroniarza:

— Z kim ty sie tak handryczysz?
— Jakiś uczeń chce wejść do pana ministra — usłyszałem.

— To go wpuść — odparł pan minister.
Wszedłem i powiedziałem:
— Czuję się szczęśliwy, że mogłem zobaczyć pana ministra.

— Dlaczego tak bardzo chciałeś mnie zobaczyć? — zapytał.

— Słucham radia i wiem co znaczy dla Polski Gdynia i jak bardzo do jej budowy przyczynił się pan minister.

— Chciałbyś zobaczyć Gdynię? — zapytał
— Aż mi oddech zapařło i powiedziałem — bardzo bym chciał.

Minister odpowiedział:
— Dobrze, wypiszesz tylko wnioski, podasz swoje dane, napiszesz dlaczego chcesz zobaczyć Gdynię — podał mi też potrzebne adresy.

Wychowawca po zakończeniu tego opowiadania naszego kolegi oświadczył:

— Ja Ci napiszę to podanie. Ty przepisziesz, podpiszesz się i wysłemy.

Podanie było mniej więcej takiej treści:

„Szanowny Panie Ministrze, niestety nie mogę skorzystać z obiecanej mi przez Pana Ministra tygodniowej wycieczki do Gdyni bo ojciec, który pracuje na kolei ma wykorzystany urlop, a z uwagi na nawal pracy, nowego zwolnienia na tydzień nie dostanie. Mama też nie może ze mną pojechać bo opiekuje się moją dwuletnią siostrą. W tej sytuacji to gdyby Pan Minister wyraził zgodę, żeby mogła do Gdyni pojechać moja klasa gimnazjalna”.

Za kilka dni przyszła odpowiedź od pana ministra:

„Wyrażam zgodę na Twój tygodniowy wyjazd razem z klasą do Gdyni. Na ten cel przeznaczam 2000 złotych. Wyzaczyłem w Gdyni przewodnika – opiekuna, który nawiąże z Tobą kontakt w celu uzgodnienia daty wyjazdu i programu pobytu w Gdyni.”

Wychowawca zabrał się natychmiast do pracy. Sporządził spis wyposażenia, które każdy z uczestników tej wycieczki musiał zabrać ze sobą. Po uzyskaniu od opiekuna w Gdyni kosztów hotelu, wyżywienia i innych wydatków, dołączyliśmy koszt przejazdu i całość wydatków podzielony został na wszystkich uczniów biorąc pod uwagę ich zamożność. Wyłączono tylko kolegę, który przyczynił się do tego wyjazdu. Łączna liczba uczestników wycieczki wynosiła 31 osób (28 uczniów i troje opiekunów, w tym wychowawca). Zbiórka była przed budynkiem gimnazjum i odjazd autobusem na stację kolejową. Przyjazd do Gdyni



na drugi dzień ok. godz. 16:00. Na dworcu witał nas, nasz opiekun- przewodnik słowami:
— Witam wycieczkę pana ministra Kwiatkowskiego.

Zaprowadził nas do hotelu, a po umyciu się zesłaliśmy do restauracji na obiadową kolację. Po kolacji jeszcze przed udaniem się do pokoi poinformował nas jaki przygotował plan zwiedzania Gdyni. Trzy dni mieliśmy zwiedzać okręty i porty, w tym okręt wojenny i pasażerski. Jeden dzień mieliśmy zwiedzać miasto i okolice. Następnego dnia zaplanowane było wypłynięcie statkiem na Hel i jeden dzień to, wyjazd do Wolnego Miasta Gdańska.

Hotel był bardzo porządny, spaliśmy w dwuosobowych pokojach. Zapamiętałem tylko, że pościel była tak przepięknie uprasowana i położona na łóżku, że żal było wchodzić pod kołdrę i burzyć te powierzchnie i kanty. Uzgodniliśmy z naszym opiekunem, że śniadania będą o godzinie 8:00, ale pierwsze wyjątkowo o 9:00 z uwagi na przemęczenie podróżą.

Następnego dnia po śniadaniu w pierwszej kolejności udaliśmy się do portu wojennego. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od łodzi podwodnych. Wtedy Polska miała trzy łodzi podwodne ORP „Wilk”, ORP „Ryś” i ORP „Żbik”. Nasz

przewodnik nawiązał kontakt z kapitanem łodzi podwodnej „RYŚ”, który opowiedział nam najpierw historię powstania łodzi podwodnych. Nasze łodzi zostały zbudowane w stoczni francuskiej w latach 1929–1932. Wszystkie trzy łodzi podwodne w 1937 roku weszły w skład dywizjonu łodzi podwodnych. Po tych informacjach kapitan oprowadził nas po pomieszczeniach. Zobaczyliśmy kajutę kapitana, kajutę pilota i pomieszczenia marynarzy oraz maszynownię. Kiedy już obejrzelśmy wszystko i mieliśmy wyjść na zewnątrz, nasz przewodnik coś długo konferował z kapitanem łodzi. Okazało się, że pan przewodnik poprosił kapitana żeby wypłynął na pełne morze i zanurzył wraz z nami swoją łódź. Kapitan tłumaczył, że nie może tego zrobić bo nie pozwalają na to przepisy. W końcu jednak uległ. Dał się przekonać i oświadczył naszemu przewodnikowi, że robi to tylko dla wycieczki pana Ministra Kwiatkowskiego. Wypłynęliśmy na pełne morze i kapitan zgodnie z wszelkimi przepisami, przy pełnej obsadzie zanurzył wraz z nami swoją łódź. Płynęliśmy w zanurzeniu kilka mil morskich, po czym kapitan zarządził wynurzenie. Niesamowite wrażenie. Byliśmy bardzo wdzięczni naszemu przewodnikowi.

Podziękowaliśmy kapitanowi i popłynęliśmy do Gdyni. Po powrocie do hotelu nasz wychowawca razem z kolegą Stasiem podziękowali naszemu opiekunowi za spowodowanie wypłynięcia łodzi na pełne morze oraz jej zanurzenie. Przecież on nie musiał tego robić. Zadziałał tylko z dobrego serca.

Nazajutrz rano po śniadaniu znów udaliśmy się do portu wojennego. Tym razem obejrzelśmy największe okręty kontrtorpedowce, były to: „Kaszub”, „Krakowiak”, „Kujawiak”, „Mazur”, „Podhalanin” i „Ślązak”. Okręty te przypadły nam w wyniku podziału floty cesarskiej Niemiec po przegranej przez Niemców I wojnie. Trzy pierwsze zostały wyremontowane w stoczni angielskiej. Kolejne trzy wyremontowano w Pucku i Gdańsku. Okręty te zostały wyposażone w uzbrojenie artyleryjskie, cekaemy i wyrzutnie torped, po czym zorganizowano je w dywizjon torpedowców.

ORP „Wicher” zakupiony został we Francji w 1930 roku i ORP „Grom” zakupiony w stoczni angielskiej w 1936 roku. ORP „Błyskawica” też zakupiono w stoczni angielskiej. Na obydwu podniesiono polską banderę w 1937 roku. I jeszcze ORP „Gryf” zakupiony został w stoczni francuskiej w lutym, a w 1938 roku

podniesiono na nim polską banderę. Był to największy Polski okręt wielozadaniowy: stawiacz min, kontrtorpedowiec i okręt szkoleniowy.

Naszą wycieczkę drugiego dnia po porcie wojennym oprowadzał sam kapitan ORP „Grom”. Najpierw pokazał nam wszystkie kontrtorpedowce, opowiedział nam też o innych typach okrętów takich jak kanonierki, trałowce i minowce. Kapitan ORP „Grom” szczegółowo pokazał nam swój okręt. Najpierw na zewnątrz, następnie po schodach wdrapaliśmy się na wierzch okrętu. Obejrzelśmy uzbrojenie: działa, ciężkie karabiny maszynowe, wyrzutnie torped. Następnie wewnątrz okrętu obejrzelśmy kajutę kapitana, kajutę pilota, pomieszczenia marynarzy i maszynownię. Po zwiedzeniu okrętu ORP „Grom” podziękowaliśmy kapitanowi i udaliśmy się do hotelu na trochę spóźniony obiad. Po obiedzie przewodnik zarządził „zajęcia własne”. Udaliśmy się więc indywidualnie na zwiedzanie miasta.

W trzecim dniu po śniadaniu, wysłuchaliśmy krótkiej historii na temat Helu, który był w tym dniu celem naszego wyjazdu. Mimo, że przewodnik starał się streszczać, opowiadanie w hotelowej świetlicy trwało ok. pół godziny. Między innymi dowiedzieliśmy się, że 11 listopada 1918 roku Marszałek Foch jako przedstawiciel ENTENTY przyjął warunki rozejmu podpisane przez Niemcy. Prawnym zakończeniem I wojny światowej stał się Traktat Wersalski podpisany przez Niemcy i państwa ENTENTY w dniu 28 czerwca 1919 roku, a ratyfikowany 10 stycznia 1920 roku. W Polsce z inspiracji zaborców powstała Rada Regencyjna 12 września 1917 roku, która 7 października 1918 roku ogłosiła utworzenie Państwa Polskiego. 22 listopada 1918 roku przekazano całą władzę Józefowi Piłsudskiemu mianowanego Naczelnikiem Państwa. Po zakończeniu I Wojny Światowej Polska otrzymała odcinek około 150 kilometrów wybrzeża od Orłowa do jeziora Żarnowieckiego (z czego niemal połowa to, wybrzeże Półwyspu Helskiego liczone z obu stron).

Dnia 10 lutego 1920 roku w Puckiej Bazie Lotnictwa Morskiego odbyły się z udziałem generała Józefa Hallera historyczne zaślubiny Polski z morzem. W 1931 roku w osadzie Hel rozpoczęto budowę portu wojennego i osiedla – Kolonii Rybackiej, kościoła i szkoły. Już w 1921 roku zbudowano linię kolejową biegnącą

przez cały Półwysep aż do Osady Hel. Półwysep Helski ze względu na swoje geograficzne położenie odegrał w naszej historii szczególną rolę. Stanowił osłonę Zatoki Gdańskiej i ujścia rzeki Wisły. Był bazą operacyjną naszej floty. Zwłaszcza w XX w. polskie i niemieckie obiekty militarne spełniały ważne funkcje obronne. Dzisiaj, ze względu na dużą wartość historyczną te, które ocalały stały się atrakcją turystyczną. Obiekty militarne, miały różne przeznaczenie. Między innymi: jako schrony bojowe, baterie artyleryjskie, stanowiska dowodzenia, zarówno polskie jak i niemieckie. Jest ich ok. 200.

Po takim historycznym wstępie przewodnika nastąpił wymarsz do portu na statek „Jadwiga”, którym wypłynęliśmy z portu ok. godz. 10:00. Dzień był pogodny i ciepły, płynęliśmy spokojnie. Słychać było tylko plusk wody. Nad naszym statkiem latały mewy. Płynęliśmy około pół godziny. Po zejściu ze statku przewodnik dał nam czas wolny i powiedział tylko, że odpływamy o godz. 13:00 do Gdyni. W tym czasie w miejscowości Hel było zaledwie kilka sklepów – przeważnie spożywczych. Wszędzie widziałem ryby i w sklepach, i na straganach.

Czwartego dnia po emocjach helskich zwiedzaliśmy Gdynię. Kazimierz Porębski dyrektor Departamentu Ministerstwa Spraw Wojskowych oddelegował na przyznane Polsce po odzyskaniu niepodległości wybrzeże zdolnego projektanta, inżyniera Tadeusza Wendę z zadaniem lustracji tego brzegu morskiego i zaproponowania najdogodniejszego miejsca pod budowę portu. Tadeusz Wenda jako wynik przeprowadzonej lustracji już w czerwcu 1920 roku pisał do swoich władz, że najdogodniejszym miejscem do budowy portu jest Gdynia. Wtedy to była mała wioska rybacka leżąca u podnóża Kamiennej Góry niedaleko Orłowa, 16 kilometrów od Gdańska. Natychmiast przystąpiono do budowy portu i miasta. 19 września 1920 sejm uchwalił ustawę o budowie Gdyni na Pomorzu jako portu użyteczności publicznej, a 10 lutego 1926 roku Gdynia uzyskała prawa miejskie. Budowie nowego miasta przyglądał się przebywający na wczasach jeden z naszych największych pisarzy Stefan Żeromski. Wydarzenia te i decyzje młodych polskich władz znalazły swoje odbicie w jego książce „Wiatr od morza”.

Prace przy budowie portu nabrały dynamiki gdy w 1926 roku ministrem przemysłu i handlu został inżynier Eugeniusz Kwiatkowski. Zaraz

na początku swojego urzędowania oświadczył, co można było przeczytać w gazetach:

„Otworzę okno na świat. Dziś w naszym władaniu pozostaje mały skrawek wybrzeża reprezentujący zaledwie 3 procent naszej granicy państwowej, ale wielkość i jakość tylko od nas samych zależy, od sumy naszej pracy, wiedzy i wytrwałości, które nad Bałtyk przyniesiemy”.

Dalekosiężny plan zakładał rozbudowę Gdyni, rozwój floty zarówno wojennej jak i pasażerskiej. Od października 1935 roku inżynier Kwiatkowski awansuje na ministra skarbu i wicepremiera, co pozwala na jeszcze łatwiejszą realizację planów dotyczących Gdyni jak też COPu – Centralnego Okręgu Przemysłowego. Jako polityk zdaje sobie sprawę co jest dla Polski najważniejsze, czyli łączność portu ze Śląskiem i całym krajem oraz stworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego położonego w sercu Polski od Skarżyska, Starachowic przez Ostrowiec, Stalową Wolę po Rzeszów. Tymczasem w kraju żyło wielu głodnych i chętnych do pracy ludzi – bo w Rzeszowie nie było żadnego przemysłu. Tymczasem Gdynia w ciągu zaledwie kilkunastu lat stała się największym portem nad Bałtykiem, a jednocześnie najnowocześniejszym w Europie, jak pamiętam.

W piątym dniu naszej szkolnej wycieczki do Gdyni, pan przewodnik zabrał nas do portu pasażerskiego. Najpierw opowiedział nam jakie okręty chronologicznie wzbogacały nasz potencjał. Jednym z pierwszych był „PIŁSUDSKI” zbudowany 1894 roku, a zakupiony w 1921 roku. W roku 1926 Żegluga Polska zakupiła we Francji pięć węglowców: „KRAKÓW”, „KATOWICE”, „TORUŃ”, „POZNAŃ” i „WILNO”. W roku 1927 zakupiono dwa statki pasażerskie: „JADWIGA” i „WANDA” – do obsługi trasy Gdynia — Jastarnia — Hel, a także wycieczek w rejonie południowego Bałtyku. W 1929 roku zakupiono statek pasażersko-towarowy „PREMIER” zbudowany 1922 roku. Pływał na linii Gdynia – Londyn. W 1929 roku – statek „REWIA” oraz „DAR POMORZA” zbudowany w 1929 roku w Hamburgu. Zakupiono również w 1930 roku, zbudowany w 1915 roku transatlantyk „KOŚCIUSZKO”. Kolejny transatlantyk zbudowany w 1910 roku nazywał się „POLONIA”. W roku 1930 dołączył trzeci transatlantyk zbudowany 1912 roku w stoczni szkockiej Baclay – „PUŁASKI”. W 1935 zakupiliśmy transatlantyk

zbudowany we włoskiej stoczni „PIŁSUDSKI” i najsłynniejszy statek flagowy transatlantyk „BATORY”. W 1936 roku dołączyły do naszej floty dwa drobnicowce „OKSYWIE” i „ROZEWIE”, a w 1937 zamówiono dwa bliźniacze statki w New Castle do obsługi linii południowo amerykańskiej – „CHROBRY” i „SOBIESKI”. W 1938 roku zakupiono jeszcze statek „GLIWICE”. Również w 1938 roku w stoczni Gdyńskiej przystąpiono do budowy pierwszego statku pełnomorskiego „OLZA”. Przy tej okazji nasz opiekun powiedział nam, że jest to bardzo korzystne dla naszego kraju, bo po takim doświadczeniu budowy pierwszego okrętu możemy rozpocząć budowę następnych, korzystając ze współpracy zakładów o podobnym zakresie robót ze Śląska i z Poznańskiego. W przyszłości na tej podstawie i doświadczenia moglibyśmy starać się o stopniowe poszerzenie międzynarodowych uprawnień dla młodej stoczni potrzebnych do zamówień na budowę okrętów.

Wówczas jednak w porcie pasażerskim zobaczyliśmy dwa statki Niemieckie, dwa Norweskie, jeden Holenderski i Polski „Jadwiga”, którym dwa dni wcześniej płynęliśmy na Hel. Od dwóch dni w porcie przebywał też nasz najsłynniejszy transatlantyk „Batory” po powrocie z Ameryki. Poprzedniego dnia nasz przewodnik nawiązał kontakt z kapitanem, który mimo nawału pracy obiecał pokazać nam ten swój statek. Rzeczywiście okręt zrobił na nas ogromne wrażenie. Kapitan opowiedział nam, że przy nazwie statku wywiązała się dyskusja ze strony Polonii amerykańskiej. Proponowano nazwać go „PADEREWSKI” lub „KOŚCIUSZKO”. Ostatecznie nazwano go „BATORY”. Przejęcie statku ze stoczni nastąpiło 8 kwietnia 1938 roku. Statek był dwusrubowym motorowym okrętem mogącym przewozić 760 pasażerów i 1200 ton ładunków. Batory miał siedem pokładów użytkowych, wśród których był: pokład słoneczny (sundeck), łodziowy (boatdeck), spacerowy (promadadeck), także pokłady A, B, C, D. Nad wystrojem statku czuwała podkomisja. Do współpracy zgłosiło się wielu polskich artystów, którzy zaprojektowali pomieszczenia: salony, palarnie, hale, kaplice etc. Długość statku to 160 metrów, szerokość 21,5 metra, zanurzenie 7,5 metra, wyporność 15000 ton. Napędzany motorem Diesla o mocy 12 000 KM co pozwalało rozwinąć 20 węzłów maksymalnej szybkości. Kapitan był z nami może 40 minut. Wypił tylko herbatkę

i pożegnał nas tłumacząc, że ma ważne spotkanie. Do zwiedzania okrętu upoważnił swojego zastępcę. Do hotelu wróciliśmy ok. 14:00, bardzo zmęczeni.

Ostatni dzień pobytu na wybrzeżu nasz przewodnik przeznaczył na zwiedzanie Wolnego Miasta Gdańska, jednego z najbardziej strategicznie położonych miast w Europie. Swoją początek datuje jako osada na VII wiek. Z racji położenia nad morzem Bałtyckim, niedaleko ujścia Wisły, na znaczącym szlaku komunikacyjnym. O przynależność terytorialną Gdańska toczyły się liczne wojny.

Po zakończeniu I Wojny Światowej, której wynikiem była przegrana Cesarstwa Niemieckiego. Niemcy w Gdańsku uświadomili sobie, że odradzająca się Polska sięgnie po tereny, które od dawna traktowali jako strategiczną część swojego kraju. Wiedzieli też, że Polska ma poparcie zwycięskiej ENTENTY, zwłaszcza Francji oraz przychylnie stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kiedy z Paryża nadchodziły wiadomości, że Polsce zostaną przekazane duże tereny Pomorza Gdańskiego ludność niemiecka reagowała manifestacjami. W tamtych latach zarówno Gdańsk jak też tereny sąsiednie zamieszkiwane były w dużej większości, nawet powyżej 80 procent, przez ludność niemiecką. Sytuacja ta spowodowała decyzję wielkich mocarstw o powołaniu Wolnego Miasta Gdańsk. Miasto zostało zdemilitaryzowane, a bezpieczeństwo zapewniała ENTENTA. Najwyższą władzę na terenie Wolnego Miasta Gdańsk sprawował Wysoki Komisarz Ligi Narodów. Wolne Miasto Gdańsk zostało utworzone 15 listopada 1920 roku. Posiadało powierzchnię 1893 km². Oprócz samego miasta w jego skład wchodziły: Sopot, Gdańskie Wyżyny, Gdańskie Niziny i Żuławy. Z chwilą założenia, Wolne Miasto Gdańsk liczyło 350 tys. mieszkańców, a w 1939 roku było już 388 tys. Językiem urzędowym był język niemiecki, ale dokumenty wysyłane do Polaków i Kaszubów miały dołączone tłumaczenia w języku polskim. Zgodnie z Konwencją Paryską, Polska odpowiadała za prowadzenie spraw zagranicznych. Terytorium Wolnego Miasta Gdańsk należało do obszaru celnego Polski. Kontrola celna była prowadzona przez polskich funkcjonariuszy. Polska miała własną służbę pocztową, telefoniczną i telegraficzną. Kolej należała do Polski (bez tramwajów). Szczegółowe uprawnienia Polaków były sabotowane przez władze WMG,

np. osiedlenia Polaków, nabywanie nieruchomości itp. W 1924 roku Polska uzyskała zgodę Ligi Narodów na założenie Wojskowej Składnicy Tranzytowej i utrzymanie załogi wojskowej do ochrony tej składnicy – na Półwyspie Westerplatte.

Przewodnik opowiedział nam też o incydencie jaki miał miejsce w 1932 roku. Zgodnie z decyzją trybunału Polskie Okręty Wojenne nie mogły stacjonować w porcie Gdańskim, ale na polecenie Józefa Piłsudskiego ORP „WICHER” wpłynął do portu żeby powitać eskadrę niszczycieli „ROYAL NAVY”, która wizytowała Gdańsk. Senat Gdański nie wyraził zgody na wpłynięcie polskiego okrętu. Ten jednak wpłynął, a kapitan oświadczył, że jeżeli mu w tym będą przeszkadzać to zbombarduje ich budynki. Nie doszło jednak do tego i okręt ORP „WICHER” powitał okręt „ROYAL NAVY”.

Nasz opiekun wycieczki ustalił plan zwiedzania Wolnego Miasta Gdańsk. W programie znalazł się budynek Poczty Polskiej, dyrekcja kolei w Gdańsku. Jej gmach był także siedzibą organizacji społecznych takich jak: Gmina Polska, Związek Polaków WMG, Związek Pracowników Kupieckich, Towarzystwo Ludowe „Gwiazda”, Towarzystwo Śpiewu „Moniuszko”, Koło Miłośników Sceny, Związek Byłych Kolejowców, Związek Urzędników Kolejowych, Związek Umysłowych Pracowników Kolejowych oraz Towarzystwo Pomocy Naukowej, Biura Zrzeszenia Pracy, Ochronka Sióstr Dominikanek, Centrala Turystyczno-Krajoznawcza, Naczelny Inspektorat Ceł, Konserwatorium Muzyczne Macierzy Szkolnej (Szkoła Średnia prowadzona przez Kazimierza Wiłkomirskiego), polska 6-letnia szkoła średnia (od 1934 roku), inne polskie firmy. Oprócz tego jeszcze należała do niej Wojskowa Składnica Tranzytowa wraz z załogą do jej ochrony na Półwyspie Westerplatte. Dla nas był to bardzo pracowity dzień bo odwiedziliśmy wszystkie wymienione polskie placówki. Do hotelu w Gdyni wróciliśmy ok. godziny 16:00. Po obiedzie, udaliśmy się na krótki odpoczynek. Potem zaczęliśmy się pakować, kolacja i o godz. 21:00 odjazd pociągiem do Sandomierza. Na stację odprowadził nas opiekun-przewodnik. Wychowawca w imieniu grupy pięknie mu podziękował i zapowiedział, że podziękowanie wyślemy też do pana ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego.

Dziennik zarazy



Laura Ślepowska

Włochy



0204 Florencja 2020

Wkrótce nadejdą Święta, moje pierwsze Święta z daleka od domu i rodziny, sama – w nowym kraju. Nie jest mi smutno, może trochę ogarnia mnie nostalgia na myśl o Mamie, o Babci, żal, że pozostawiam

je same sobie, że w niczym nie mogę pomóc, powiedzieć *zostaw ja to zrobię, usiądź, zostaw, zajmę się tym*.

Od dwóch miesięcy mieszkam we Włoszech, od miesiąca trwa kwarantanna, którą objęta jest niemal cała Europa. Nie

czuję się wyjątkowa w związku z tym, czuję się *częścią świata* – który ma problem.

Nie mogę nic zrobić, prócz przestrzegania sumiennie rządowych dyrektyw i zastosowania się do ogólnie przyjętych zasad – izolacja, w celu ochrony naszego zdrowia.

Trwam w izolacji i wiem, że wyjdziemy z niej – inni.

0304 Sztuka dla sztuki

Są chwile nudy, to zupełnie dla mnie nowa rzecz. Wałkonię się momentami zupełnie bez celu. Gdyby tak odkryć istotę tego wałkonienia, można by nadać mu znaczącą wagę i już nie byłoby bezcelowe, już nie byłoby nudą lecz zajęciem.

Zajęcie musi mieć cel, zajmujemy się *czymś – po coś*.

Więc jeśli uznam, że leżę, porzrzucana niedbale po kanapie, jak gdyby ktoś pozbawił mnie stawów i kości, leżę, tym miękkim, tym rozlewającym się ciałem, i uznam, że to leżenie ma coś na celu, to bezkarnie tak leżeć, bez poczucia winy – może okazać się przyjemne.

A jeśli jest to przyjemność – to jest w tym *sens*.

Zatem leżę na kanapie – bo jest mi przyjemnie leżeć na kanapie i czerpię z tego radość, i wypoczywam, na co być może nie miałam wcześniej czasu. Z drugiej strony – po co leżeć, jeśli jestem zdrowa? Jeśli mogę chodzić, ćwiczyć, zrobić *coś*. Nigdy nie potrafiłam uznać leżenia na kanapie jako zajęcia. Kiedy ktoś pyta – *Co robisz?*, a ty leżysz na kanapie, odpowiadasz – *Nic*. Nie mówisz – *Wybacz, nie mogę teraz rozmawiać jestem zajęty* – *A co takiego robisz?*

-Leżę na kanapie stary, oddzwonię

Lekceważymy leżenie na kanapie, nie robimy tego aby to robić, tylko robimy to aby zrobić coś innego, aby czytać, aby





gadać przez telefon, aby patrzeć w telewizor. Rzecz w tym, aby nic nie umknęło naszej uwadze, aby świadomie podejmować małe działania, aby wiedzieć, że leżenie na kanapie może być decyzją, może stanowić wybór, i można się nim rozkoszować. Tylko trzeba chcieć o tym wszystkim chwilę pomyśleć.

Jeśli prawdziwi podróżnicy wyruszają w świat, po to aby wyruszyć, to my – poleżmy na kanapie, po to by poleżeć na kanapie.

0804 Florencja

Piszę dzisiejszą datę, jest dla mnie nierealna. Spojrzenie w kalendarz jest co najmniej

dziwne, odnośnie daty i dnia tygodnia, przysięgam, dałabym wmówić sobie wszystko. Odmierzanie czasu stało się egzotyczne do tego stopnia, że odróżnienie poniedziałku od niedzieli – dwóch wzorowych antagonistów – stało się wręcz niemożliwe. Czas zabawia się z nami w ciuciubabkę.

Przykrył oczy, zakręcił nami kilkukrotnie wokół własnej osi i... *Ha!*

Więc jeśli da się, każdy dzień przeżyć od początku do końca, bez żadnego odniesienia – to może naprawdę niepotrzebne są nasze uprzedzenia wobec poniedziałków.

Trzydzieści dni w kwarantannie. Uznalam odgórnie, że każdy jest niedzielą

i przestałam się nad tym zastanawiać. Pierwszy tydzień graniczył z obłędem, czułam się jak pusty bęben w wirującej pralce. Walczyłam z nudą, która była dotychczas zupełnie mi obcym sąsiadem, o którego istnieniu świadczą jedynie kroki na klatce schodowej. Walczyłam nie tyle z brakiem pomysłów czym mogłabym się zająć, lecz z niechęcią do robienia CZE-GOKOLWIEK.

Pozwoliłam sobie jednak nie zmuszając się do niczego, obserwować swoje własne z tym zmagania, utkwic w tym marazmie po sam czubek głowy, dotknąć absolutnego lenistwa, bałaganiarstwa i zdobyć szczyt bezczelności w marnowaniu czasu. Nie obyło się rzecz jasna bez kary, którą musiałam odbywać każdej nocy – monotonnej i potwornie nużącej bezsenności.

Drugi tydzień. Mam dosyć, i zaczynam aktywizować się do różnych zadań.

Zaczynam tworzyć coś z niczego, gruntownie sprzątać dom, gotować, tworzyć kolaże z gazet, czytać, pisać, praktykować jogę, wystawiać twarz do słońca. Spędziłam dziesiątki godzin, doskonaląc przepisy, na których realizację nigdy nie było dobrego momentu. W końcu mam czas by popełniać błędy, rozumieć je i próbować od nowa. W kuchni odnalazłam swój balans, swój odważnik, który wyregulował poziom bardzo niestabilnej szali. Dziś jestem spokojna, bo znalazłam na siebie sposób. Przestałam się irytować i jęczeć wzywając niebiosa, zaczęłam akomodować się w klatce, aby urozmaicić sobie codzienność, i przede wszystkim, by znaleźć w niej bezpieczną przestrzeń do wsluchania się w głos serca, do wycucia jego rytmu, wyłapania moich naturalnych, głębokich potrzeb i rozpoznania intencji. Dziś, mogę odciąć się od wszystkiego, mogę wyłączyć prąd, nie muszę słuchać bzdur, nie muszę pracować, nie muszę nigdzie wychodzić ani rozmawiać z ludźmi, których nie lubię. Mogę zapaść w sen, wypocząć i pozamiatać głowę, posegregować i wyrzucić śmieci, zostawić tylko to, co chcę, lub to, co samo nie chce mnie opuścić, mogę wywietrzyć wszystkie korytarze, wpuścić świeże powietrze i promienie ciepłego słońca, wyrwać chwasty, zorać glebę i zasiać nowe ziarno. Ciężka

praca w polu pełnym gnoju, który równomiernie rozłożony stanowi cenny nawóz i zdrowe pożywienie dla nowych plonów. Podwijam rękawy, wbijam widły w twardą ziemię i zabieram się do działania.

Są dni kiedy jestem słabsza, są dni kiedy jestem silniejsza. Są dni kiedy jestem socjalna, są takie kiedy nie potrzebuję z nikim rozmawiać, bo wystarczająco dużo rozmawiam ze sobą i nie mam nastoju do żartów. Dowiaduję się o sobie wielu nowości.

0904 między szklanki brzegiem a dnem

„Wolałabym wiedzieć ILE! ILE to potrwa, jakby mi ktoś powiedział, że dwa tygodnie, zrobiłabym plan, co chcę zrobić w te dwa tygodnie i tyle! a tak? bez sensu...” – mówi do mnie. Zawieszam wzrok, zaczynam się nad tym zastanawiać.

To tak jakby powiedzieć – wolałabym wiedzieć ile dni zostało mi do śmierci, aby zacząć żyć. Nie dane nam jest wiedzieć ile to potrwa, i w tym właśnie tkwi esencja naszej zagadkowej egzystencji, chodzenie po cienkim lodzie, wielka niewiadoma, ryzyk fizyk, każdego dnia otrzymujesz nowy karnet czasu, do wykorzystania w teraźniejszości, tu, teraz na ziemi, wśród ludzi. Stawiam kropkę, dopijam ostatni łyk mętnej zimnej, zielonej herbaty, na dnie szklanki dostrzegam swój włos, płynnie ułożony w znak nieskończoności – uśmiecham się, w przekonaniu, że najcenniejszą rzeczą w życiu jest jego niepewność.

1004 2:0 dla psa

Moje łogowisko, biuro, mój leżak, miejsce do medytacji, jogi, miejsce do czytania, stanowisko do pisania, wycinania stron z kolorowych gazet, jedzenia bułeczek cynamonowych, to moja mata rozłożona na podłodze pod oknem. Lekko tłusta, pachnie olejkami kokosowymi do opalania, gdzieś tam można znaleźć okruchy ciastek, pojedynczą nitkę, wszystkiego po trochu. Spędzam na niej większą część swojego dnia. Kiedy byłam mała, i musiałam iść do przedszkola, a potem do szkoły, każdego ranka patrzyłam na naszego psa, leżącego spokojnie na dywanie, podnoszącego ledwo jedną powiekę, kiedy ja musiałam wyjść z domu. Zazdrościłam psu – że spokojnie

i ciepłutko śpi, zazdrościłam, że nic nie musi. Teraz czuję się jak ten leniwy pies, leżę na podłodze, odpoczywam. Czuję

się jakbym nadrabiała tamten czas, który długo miałam mu za złe.

Dziś psu wolno wyjść z domu – mnie nie...





1404 moje pierwsze

Próbuję opisać skrajne nastroje minionych dni. Mam pustą głowę. Kiedy nie wiem już o czym pisać, jak pisać, od czego zacząć, czekam. Czekam na pierwszy obraz jaki pojawi się za zamkniętymi powiekami. To ciekawe jak dziwne pomysły, momenty, zdarzenia, przedmioty z przeszłości, potrafią nieoczekiwanie wypłynąć na powierzchnię, jak styropian, długo przytrzymywany ręką pod wodą, wypuszczasz go spod dłoni – *plum!*

Pierwsza myśl, widzę przed oczami album, fotografie z dzieciństwa, uzupełnione od ręcznymi podpisami Mamy na chropowatym

pożółkłym plastrze „mój pierwszy dzień w domu”, moja pierwsza kąpiel”, „moje pierwsze ścięte loczki”. Mama świętowała *moje pierwsze*, uwieczniała na zdjęciach, aby zachować wspomnienia. Być może nie jest niemożliwym, by odnaleźć w sobie ich ślady, obudzić z zapomnienia i wydobyć z głębi cząstkę radości, którą zasilila tamte chwile. To musi w nas trwać, nie wierzę by ulotniło się bezpowrotnie, nie wierzę, że to uczucie nas opuściło. Tylko w zupełnej ciszy, kiedy możemy podróżować ścieżkami swojej wyobraźni, tylko tam, istnieje szansa spotkań, z tym co było, a czasem nawet z tym co dopiero przed nami.

1804 kwestia czasu

Starsze pokolenia mają zwyczaj dzielić swoje życie latami. Kiedy Mama opowiada, w 81 roku wyjechaliśmy do Niemiec, w listopadzie zmarł twój dziadek, a pod koniec dekady przyszła na świat Twoja starsza siostra, to wszystko ma sens, układa się w spójną ciągłość, przyczynowo skutkową historię. Ludzie piszą książki – latami, przyjaźnie – liczą się latami.

Zastanawia mnie skąd pochodzi nasz popęd do dokonywania wielkich rzeczy w oka mgnieniu, skąd w nas ta niecierpliwość i pośpiech, wszystko teraz, już i zaraz, wszystko na raz. Przecież nie rodzimy się wielcy, lecz stajemy się kimś, wraz z upływem czasu. Aby to zrozumieć, trzeba zaufać. Musimy doświadczyć życia na wszystkich jego etapach, dajmy sobie czas, pozwólmy sobie płynąć. Zbyt wiele żądamy, domagamy się. Zablockowana świadomość, utkwiona w pamięci i oczekiwaniach, w przeszłości i przyszłości, sprawia, że tracimy kontakt z rzeczywistością, nie odczuwamy czasu teraźniejszego, który stanowi jedynie bladą cienką nić oddzielającą myślenie o tym co było (i jest nieistotne, bo już tego nie ma), oraz o tym co będzie (co również nie jest istotne, bo również tego nie ma). To szaleństwo, żyjemy w iluzji czasu.

2204 germknodel

Spokojny nijaki dzień. Wypracowana rutyna stawia opór i utrudnia odróżnienie jednego dnia od drugiego. Gdyby tak spróbować, codziennie wyszczególnić jedno drobne zdarzenie, chwilę, odczucie, coś – co pozwoliłoby nadać mu tytuł, ocalić od rozpuszczenia w niepamięci, mogłoby się okazać, że nic nie zapada w pamięć, tak bardzo jak emocje, niesione poprzez małe pozornie nic nieznaczące momenty codzienności.

Bez większego entuzjazmu podeszłam do pomysłu, aby zrobić dziś kluski na parze. A że jestem ostatnio zgodna, łagodna, i przychylna, skłoniłam się do tej propozycji. Masa ciepłego, lepkiego i luźnego ciasta drożdżowego, pochłonęła moje ręce jak bagna, z których nie można się wydostać. Czas, cierpliwe oczekiwanie na ciasto, które winno najmniej podwoić

swoją objętość za sprawą rozmnażania się drożdży, to fascynujące zjawisko, które nigdy nie przestanie mnie zachwycać w swojej fizyce. A w końcu zamknięcie puszystych kulek pod przykryciem, ułożonych na skrawku koronkowej firany, owiązanej wokół średnicy garnka, gdzie para wodna z surowego ciasta przeistacza kulki w mięciutkie pulchne bułeczki. Gorące kluski na parze, lekkie jak chmury, przywracają mnie pamięcią do najszcześniejszych chwil dzieciństwa, pachnącego ciepłym ciastem drożdżowym, świeżym mlekiem, skoszoną trawą i cieniem stuletniej lipy.

2304 viva Mari ja [rozmowa z Babcią Marią]

Dziś dzień pytań o miłość, wiesz?

Ha ha, już się cieszę!

Zatem zaczynamy. To będzie głębokie pytanie, uwaga.

Jak rozpoznać, że ktoś jest dla Ciebie? Jak rozpoznać osobę, która stanie się miarą wszechrzeczy, i nie pozostawi wyboru ani wątpliwości?

Jak rozpoznać i nabrać pewności, że jest wystarczająco dobrze, i nie musisz rozglądać się na boki w oczekiwaniu, że może jednak mogłoby być lepiej?

Tego nie da się przewidzieć, nigdy. Babki, które mówią zobaczyłam go i wiedziałam, że to ten jedyny, plotą bzdury. Po prostu nie zakochały się już nigdy potem. Tak się złożyło.

Tak sądziłam.

Jest jak w piosence. Każda miłość jest pierwsza...

Czyli nie można być pewnym, że będzie tą ostatnią, tą do końca?

Sądzę, że nigdy. Ważne, aby to były tylko zauroczenia. Naturalnie dotyczy to bycia w związku.

W latach 60. zakochałam się w rówieśniku z wzajemnością. Też miał dwoje dzieci, mieszkał nad morzem. Byliśmy na czternastodniowym kursie w Krakowie, nierozłączni.

Ale nie chcieliśmy psuć sobie i dzieciom życia. Do dziś mam gdzieś jego wiersz na pożegnanie.

To jest takie podziękowanie, że udało nam się nie pójść za daleko.

Zakochiwać się można w nieskończoność, ale w pewnym momencie trzeba wybrać, prawda? Jak słoń, przywiązany do pala jedwabną nicią, w każdej chwili może pociągnąć za nić i uciec kiedy zechce, ale słoń nie ciągnie, wybiera, że będzie przywiązany jedwabną nicią do pala.

Może jednak potrzebujemy pewnego rodzaju trwałości, choć w tym jednym aspekcie życia? Mam na myśli rodzinę.

Takie małe zwycięstwa nad sobą wzmacniają nas, pomimo łez. Jeśli kobieta ma silne poczucie obowiązku zbudowane od dziecka, oprze się pokusom i nie zniszczy rodziny. Mam koleżanki, które w życiu nie zakochały się nigdy, a to nie sztuka być wiernym w tej sytuacji.

Wychodzę na spacer.

Znajdź proszę ten wiersz.

*

Tyle czasu przez Ciebie straciłam, ale znalazłam!

*

Dlaczego byłaś?

Piękne są chwile, których kres mija

Czasem swobodni idziemy bez celu

Za te spotkania Tobie dziękuję

Viva Marija

Złudne marzenia treść ich niczyja

Oczy zasnuje mglistym wieczorem

Za te spojrzenia Tobie dziękuję

Viva Mari ja

Nic tu z rozterki sama przemija

Dzieli nas życie szare bez echa

Za tę rozwałkę Tobie dziękuję

Viva Mari ja

Urok wonnieje, sączy się perlista żmija

Koniec

Za to rozstanie Tobie dziękuję

VIVA MARI JA

[Przepisuję rękopis, który dziś ma sześćdziesiąt lat]

Pomóż mi z ostatnim wersem. Urok...?Niepotrafię odczytać.

Tak, trochę bez sensu, urok wonnieje.

Coś mi tu nie pasuje.

Wonnieje

Nie znam takiego słowa.

Chyba pachnie.

Chyba tak.

Nie zastanawiaj się co miał na myśli, bo w kawiarni na kawałku papieru

to nabazgrał przed wyjściem na pociąg w pośpiechu.

Zastanawiam się.

Potem jeszcze staliśmy objęci na peronie i nic nie mówiliśmy. Są tam litery, L.W., nie pamiętam..

Nie pamiętam imienia, nazwisko było dziwne, tak jakby przekręcone.

2304 łokcie na świat

Ze snu wyrwa mnie krzyk, jest siódma rano. Krzyczy moje imię, na zmianę ze słowem IKEA. Krzyczy tonem zarezerwowanym dla *Pali się*, słyszę w Jej głosie panikę i pośpiech, słyszę w Jej głosie pożar. Odpowiadam pod nosem coś pomiędzy *słyszę a idę*, bardziej do siebie, niż do Niej. Wstaję, transport przywiózł meble, pod oknem w wąskiej uliczce na włączonym silniku, stoi duży ciężarowy samochód, przecież wszystko przyniosą do góry, o co te krzyki?

Przechodzi mi przez myśl, że z pewnością wyrwaliśmy ze snu kilku naszych sąsiadów, czuję się za to odpowiedzialna, nie wiedząc dlaczego, wychyliłam się przez okno, łokcie opieram o parapet i kontroluję sytuację. O siódmej trzydzieści na swój taras, w głębi dachu wychodzi Fumo i pali pierwszego papierosa. Kiedy nic się nie dzieje, siedzi na krześle i widać zaledwie czubek jego głowy owiany obłokiem dymu. Kiedy coś się dzieje – stoi łokciami oparty o skraj tarasu. Pali zawsze powoli. Ma wąską twarz i z każdym dniem coraz dłuższe włosy. Od pięćdziesięciu dni nikt nie chodzi do fryzjera, a mężczyźni nabierają dzikich rysów. Ulica jest tak wąska, że kiedy stoimy w oknach, jesteśmy sobie bliscy, pozdrawiamy się gestem uniesionej dłoni. Nie wiemy o sobie nic, lecz wiemy o sobie wiele. Widzi nas każdego dnia między dziesiątą a czternastą kiedy półnagie wygrzewamy się w słońcu, słyszy nasze rozmowy, naszą muzykę, wie, co oglądamy w telewizji, wie, że codziennie od szesnastej do osiemnastej śpimy, bo wtedy to właśnie zaciągamy w oknach białe płócienne zasłony, które co prawda wcale nie zaciemniają wysokiego i jasnego salonu, ale w tak przyjemny i delikatny sposób oddzielają mnie od ulicy, że nie potrzeba

ciemności by błogo drzemać. O tej porze na ulicy robi się ciszej, zasłony poruszają się, nadymając powietrzem jak żagiel, jak wdech i wydech, jak wielkie prześcierała suszone na słońcu. To bardzo kojący odpoczynek. Obserwacja życia sąsiadów staje się dla mnie jedną z ciekawszych rozrywek. Nadajesz imię człowiekowi, którego znasz tylko z widzenia, śledzisz jego zwyczaje, porządek jego życia, relacje z otoczeniem. Fumo mieszka z Claudią. On pali, ona nie. Claudia jest niezbyt atrakcyjna, on jest przystojny. Na tarasie nie rozmawiają ze sobą, i nie wychodzą nigdy razem. Ona się krząta, często chodzi z miotłą, wiesza pranie i chodzi w męskich podkoszulkach. On jest raczej milczący, ma zamyślane spojrzenie, jest z południa, co słychać po akcentowaniu podwójnych głosek, tam, gdzie wcale nie są podwójne. Piętro niżej mieszka Babcia, nie wcześniej niż o dziewiątej otwiera okiennice – opiera łokcie. Okna Babci są na równym poziomie z naszymi, siedząc na kanapie, patrząc w okno, można odnieść wrażenie, że jej dom jest kontynuacją naszego, dzieli nas korytarz szerokości ulicy. Babcia jest pogodna, skromna, i lubi błękit, w tym kolorze ma większość sweterków, choć czasem chodzi w nocnej koszuli aż do południa. Na stole przykrytym białym koronkowym obrusem, w wąskim flakonie pod ścianą stoi codziennie jedna czerwona różyczka. Dziadek odszedł trzy miesiące temu, Babcia została sama. Skąd codziennie świeża różyczka? Od pięćdziesięciu dni nikt nie chodzi na targ. Ustalłam, że po drugiej stronie mieszkania, z kuchni, jest wyjście na balkon, gdzie Babcia pielęgnuje kwiaty. Możliwe jednak, że to Dziadek, że wciąż tam jest, co wyjaśniałoby zagadkę, dlaczego róża jest nieśmiertelna, a Babcia tak naprawdę wcale nie jest sama. Ta myśl mnie uspokaja. O trzynastej je obiad, twarzą zwróconą do ściany, albo w kierunku różyczki?

Ostatni budzi się Profesor. Nauczyciel włoskiego, mieszka w Najsmutniejszym Mieszkanu w Mieście. To wyjątkowe wyróżnienie otrzymuje za absolutną ascezę, za brak jakichkolwiek przedmiotów

świadczących o jego tożsamości. W jego mieszkaniu stoją dwa pojedyncze złączone ze sobą łóżka, biurko, krzesło, plastikowy kosz na śmieci. Obok łóżka stoi rozer, we wnęce jest szafa, a na parapacie stoi różowa popielniczka. To wszystko. Profesor mieszka w pustym mieszkaniu, przepelnionym samotnością. Całymi dniami siedzi przy biurku, pali papierosy. Czasem wystawia łokcie, postoi chwilę w oknie, chciałby z nami porozmawiać, ale nie ma o czym – wzruszamy więc bezradnie ramionami, zgodni w tej jedynej kwestii – że nie mamy o czym ze sobą rozmawiać.

2704 La Stravaganza <https://www.youtube.com/watch?v=QP73569coeo&frags=pl%2Cwn>

Żeby to dobrze zrozumieć, musisz posłuchać muzyki, chodź ze mną na spacer, pokażę Ci coś. Wychodzę z domu, w klapkach i lekkich spodniach. Uwielbiam, uwielbiam wyjść z domu jak stoję, na spotkanie z ciepłym zmierzchem. Ze spokojem mogłabym wskazać, że to moja ulubiona pora dnia, nie jest już jasno, ale nie jest jeszcze ciemno, nie jest już gorąco, ale jeszcze nie jest chłodno, niebo jest granatowo przejrzyste, przecięte sierpem niskiego księżycza, z ciepłą luną światła ulicznych



latarni. To jedno z tych uczuć, do których tęsknota drzemała we mnie od zawsze, myślę, że to właśnie ona mnie tu doprowadziła. Kiedy przyjechałam do Florencji po raz pierwszy, a było to nieco ponad rok temu, czułam gdzieś pomiędzy sercem a żołądkiem, że to może być miłość.

To było na wzgórzu San Miniato, gdzie znajduje się bazylika o tej samej nazwie, do której prowadzą szerokie i strome schody, możesz sobie wyobrazić, jaki piękny widok na miasto rozciąga się za Twoimi plecami wspinając się ku górze. Usiadłam w jednej z pierwszych ławek. Pod ołtarzem odbywała się kameralna próba orkiestry symfonicznej, dyrygent, sekcja smyczkowa, strunowa, klawiszowa, dęta. Słuchałam muzyki, jak na prywatnym koncercie, w pustym zimnym kościele, w pierwszym rzędzie, muzyki żywej, prawdziwej, smukłej i poważnej, która, wdarła się pod moją skórę i wibrując od wewnątrz prowokowała ciarki na mojej twarzy. To był taki moment, kiedy zrozumiałam, że właśnie otrzymałam kopertę z odpowiedzią. To był moment uroczysty, i przyjęłam to jako wiadomość. Rok później, przechadzam się w klapkach ulicami Florencji, miasta, w którym mieszkam. Dziś, po tak wielu dniach w zamknięciu, czuję pod stopami każdą nierówną powierzchnię, czuję każdy zapach z osobna i głęboko oddycham czystym życiodajnym powietrzem, czując jak unosi mnie ponad chodnikami. Jeśli już słyszysz tę muzykę, to chciałam pokazać Ci moją sekretną namiętność, spójrz na ten dom, to freski na sufitach, za dnia nie można ich dostrzec. To idealna pora aby podglądać sufity. To piękno, które jest magiczne.

Potrzebowałam zamknięcia, aby spaść kłamrą ten miesiąc opowiadań.

To niezwykle, z ciekawości sprawdzam dokładną datę powstania Bazyliki San Miniato al Monte, na głównej stronie ukazuje się wiadomość, że 27 kwietnia obchodzimy jej tysiąclecie.

Zdjęcia Stefan Godecki



Bolesław Bieniasz

Belgia

*Panu Krzysztofowi Pendereckiemu
wielkiemu kompozytorowi na
pamiątkę spotkania przy „Miniaturach”
i tylu innych okazjach*

Zanim dłoń pokieruje dętym

Z pni górskich świerków
wyrastają skrzypce

Śpiew z wiatru się rodzi
nasiąka radością...

Słońce złoci strumień

Liść rozkołysany
szuka tła w błękitcie

Dzięcioł zawzięcie puka

2001

KRZYSZTOF PENDERECKI, in memoriam

Wibrujące myśli, refleksje



Bolesław Bieniasz

Belgia

Po wybrzmieniu ostatnich dźwięków symfonii dyrygent opuszcza ręce, zamyka partyturę i odkłada batutę. Jego gest symbolizuje zakończenie dzieła.

29 marca 2020 r.

wybrzmiała ostatnia strona partytury życia Krzysztofa Pendereckiego, słynnego kompozytora i dyrygenta. Poruszony tym faktem, wspominając jego długoletnią karierę, mój osobisty z nim kontakt oraz fakty, których miałem okazję być świadkiem, postaram się uchwycić sylwetkę światowej sławy Artysty.

Krzysztof Penderecki urodził się w 1933 roku w Dębicy w Małopolsce. Po latach wojny kontynuował naukę gry skrzypcowej u Stanisława Tawroszewicza, cenionego wirtuoza. Równolegle uczył się kontrapunktu i kompozycji w Państwowej Średniej Szkole Muzycznej w Krakowie pod kierunkiem Franciszka Skołyszewskiego, docieklivego teoretyka muzyki, erudyty i matematyka. Następnie odbył studia w Krakowie w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w klasie

kompozycji Artura Malawskiego i Stanisława Wiechowicza. W tym samym czasie korzystał z wykładów wygłoszanych na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Dzieło Krzysztofa Pendereckiego w większej części należy do drugiej połowy XX w. Cofnijmy się o krok i spójrzmy na epokę poprzedzającą jego działalność.

Początek XX w. oraz okres międzywojenny jest epoką kompozytorów tej miary co Ravel, Strawiński, Szymanowski, Bartók, Bloch, Berg, Enescu, de Falla, twórców urodzonych pomiędzy 1875 i 1885 r. Także kilku młodszych, w ich liczbie Prokofiew, Hindemith, Honegger, Poulenc. Inni, niemniej sławni jak Britten, Messiaen, Lutosławski, Szostakowicz, Grażyna Bacewicz, należeli do generacji urodzonych już w pierwszych latach XX w. Muzyka tych wielkich twórców zaliczana jest do szeroko rozumianego nurtu tradycji o tendencjach niekiedy skrajnie różnicowanych.

Po 1945 r. dokonały się radykalne zmiany. Polityka kulturalna bloku wschodniego lansowała nowy model – estetykę realizmu socjalistycznego. Wprowadzanie motywów ludowych miało zapewnić komunikatywność kreowanych dzieł. Po tzw. odwilży 1956 r. wyżej wymienione dyrektywy straciły na sile. Natomiast Zachód, wyłączając kierunek neoklasyczny, skłaniał się ku awangardzie poszukującej nowych brzmień. U zbiegu stosowanych wówczas technik – jak serializm, punktualizm, muzyka elektroniczna (filtrowanie dźwięków, efekty rewerberacji),

także aleatoryzm (dopuszczający zaistnienie przypadku, w konsekwencji chwil akustycznego chaosu) – rodzi się „sonoryzm”. Ten nowy styl polegał na wykorzystywaniu zjawisk brzmieniowych typu artykulacji, dynamiki, kontrastów, glissand i mas dźwiękowych, jako budulca i elementu ekspresji. Inne traktowanie instrumentów (szmery, zgrzyty) pociągnęło za sobą wprowadzenie odmiennej notacji w postaci innowacyjnych znaków, linii i wykresów. Ciąg i krzyżowanie się nowych, nie używanych dotąd brzmień pozwalało zastąpić tradycyjną linię melodyczną z jej grą napięć i spadków. W miejsce architektониki klasycznych form opartych na tematach i motywach rytmiczno-melodycznych oraz ich wariacjach, pojawiły się sekwencje ewoluujących brzmień orkiestrowych, porównywalne do obrazu kręcącego się kalejdoskopu. W sumie powstał nowy język muzyczny.

Krzysztof Penderecki odznaczał się rzadką zdolnością „czytania pomiędzy liniami”. Dokonał wyboru i poszedł nową drogą wyżej wymienionego *sonoryzmu*. Nie brakło mu talentu, odwagi i szczęścia.

W 1959 r. w wyniku konkursu Związku Kompozytorów Polskich, za przesłane *Strofy*, *Emanacje* i *Psalmy Dawida*, 26-letni artysta zdobywa trzy pierwsze nagrody otwierające mu bramy natychmiastowej kariery i dające możliwość pogłębienia studiów za granicą. *Strofy* zostają zaprezentowane na festiwalu „Warszawska Jesień”, przynosząc mu międzynarodowy



rozgłos. W krótkim czasie powstają kolejne dzieła: *Anaklasis*, *Tren ofiarom Hiroshimy*, *Polimorfia*, *Fonogramy*, *Przebudzenie Jakuba*, utrzymane w tym samym stylu. Penderecki zdobywa rangę czołowego kompozytora awangardy.

Następnym kamieniem milowym na rozpoczętej drodze staje się *Pasja według św. Łukasza* (1966), utwór zamówiony z okazji obchodów 700-lecia katedry w Münster. W sposobie komponowania K. Pendereckiego następuje zwrot. *Pasja*, napisana dwieście lat po arcydziełach Bacha, łączy nowatorstwo z tradycją. Wyzwanie to, samo w sobie trudne, zostało ukoronowane ogromnym sukcesem.

Podzielię się kilkoma wspomnieniami. Krzysztof Penderecki pozostawał w bardzo przyjaznych stosunkach z Zenonem Felińskim, znanym profesorem skrzypiec, którego byłem uczniem i któremu często towarzyszyłem zważywszy na stan jego zdrowia. Profesor niezwykle cenił talent Pendereckiego. Jego łatwość

komponowania porównywał do daru, jakim odznaczał się Mozart. W 1959 r. towarzysząc Profesorowi na jednym z koncertów, poznałem osobiście Pendereckiego. Podczas wielu podobnych spotkań byłem dopuszczany do przysłuchiwania się ich rozmowom otwierającym mi nieznane dotąd horyzonty.

Pamiętam wykonanie *Trenu* i kilku innych „awangardowych” utworów kompozytora. „Wywarły na mnie wielkie wrażenie. Wykonania te należały do wielkich wydarzeń artystycznych Krakowa. Stawały się przyczyną niekończących się dyskusji prowadzonych wśród muzyków i melomanów, także burzę, jaka rozszalała się na łamach prasy (mówiło się m.in. o *szoku akustycznym*). Wielu zdezorientowanych słuchaczy nie akceptowało podobnych zjawisk. Tego rodzaju reakcje nie są jednak niczym nowym. W r. 1913 paryska premiera *Święta wiosny*, arcydzieła Igora Strawińskiego, wywołała skandal. Po pięćdziesięciu

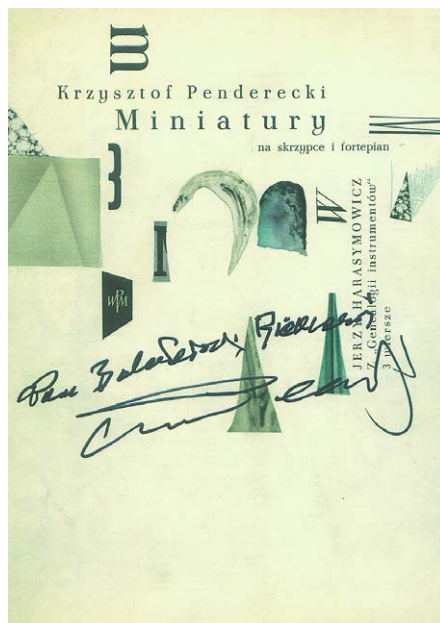
latach, ten niegdyś prekursorski utwór niejednemu wciąż wydawał się zbyt nowatorski. W podobnej sytuacji znalazł się Beethoven, cieszący się za życia ogromnym uznaniem. Jego ostatnie kwartety o charakterze medytacyjnym, odznaczające się użyciem nagłych zwrotów motywicznych, nie zostały zrozumiane przez współczesnych. Czas, sędzia surowy i cierpliwy, pozwolił słuchaczom zbliżyć się do dalekosiężnej wyobraźni klasyka wiedeńskiego, posługującego się nowymi formami ekspresji brzmienia.

Opiszę jeszcze dwa wydarzenia. Pierwszy dotyczy końca lat 50. Pewnego wieczoru znalazłem się w holu auli Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej wypełnionym publicznością. Panował gwar. O krok ode mnie rozmawiało dwóch mężczyzn. W pewnej chwili głos jednego z nich ożywił się i usłyszałem następujące słowa: *dłaczego nie piszesz tonalnie?* Było to pytanie Stanisława Tawroszewicza skierowane do Pendereckiego,

swego byłego ucznia. Po latach zrozumiałem w pełni znaczenie tych słów. Tawroszewicz był głęboko wrośnięty w tradycję. Wykonywał utwory wielkiego repertuaru koncertowego, by zacytować choćby *Sonatę kreutzerowską* Beethovena. W tych latach poszerzona tonalność należała wciąż do arsenału techniki kompozytorskiej, działał jeszcze Strawiński, rozbrzmiewały niepozbowione swoistej nowoczesności symfonie Szostakowicza, także dzieła Chaczaturiana, m.in. jego *Koncert skrzypcowy*, równie monumentalny, jak i daleki od awangardy, wykonywany z sukcesem przez największych wirtuozów świata. Nie zmienia to faktu, że młody Penderecki, jakkolwiek wychowany w duchu wielowiekowej tradycji, lecz należący do innej generacji, chłonąc nowe prądy pragnął i potrafił osiągnąć ekspresję brzmienia innymi, niekonwencjonalnymi środkami, „przeskakując kilka epok”, według słów prof. Felińskiego, pamiętającego modernizm przedwojennego Wiednia i Berlina.

W 1972 r., po zakończeniu studiów w Brukseli pod kierunkiem prof. André Gertlera, zwróciłem się do Pendereckiego, mojego ówczesnego zwierzchnika, z prośbą o spotkanie. Przyjął mnie bardzo chętnie. Zainteresowany muzyką współczesną, pragnąłem usłyszeć jego zdanie na temat „nowoczesności” ostatnich dzieł Bartóka oraz przyszłości muzyki. Opowiedział się za koniecznością posługiwania się nowym materiałem dźwiękowym. Korzystając ze spotkania poprosiłem go o wyjaśnienie mi struktury jego *Miniatur na skrzypce i fortepian* (1959), utworu awangardowego, który często wykonywałem i następnie nagrałem w studio radia belgijskiego. Z zachwytem, zarazem z niemałym zaskoczeniem usłyszałem z jego ust, że kantylena trzeciej części cyklu została zainspirowana przez ekstazy typ melodii Szymanowskiego. W jakiś czas później usłyszałem kolejne jego utwory coraz bardziej nawiązujące do tradycji.

Uczyłem się analizy form muzycznych, grywałem w orkiestrach, uczestniczyłem w festiwalach nowej muzyki, w prawykoniach, uczyłem się na koncerty,



współpracowałem z kilkoma kompozytorami, przez wiele lat pracowałem w archiwum dźwiękowym radia. Muzyka jest moim codziennym chlebem. Tymczasem kilka lat temu przeżyłem nieoczekiwany moment, zarazem niezmiernie podniosły. W czasie pewnej prelekcji, miałem okazję wysłuchać na nowo *Przebudzenie Jakuba* Pendereckiego. Zostałem wprost poruszony ekspresją i wielkością tej muzyki. Było w niej coś „oczywistego”, skłaniającego mnie do maksymalnego skupienia, do aktywnego i wnikliwego wchodzenia w jej myśl przewodnią. Poddałem się jej działaniu, jej „opowieści”, wynikłej z przetworzonych doznań i doświadczeń kompozytora.

Po *Pasji* powstały następne dzieła o rozpoznawalnych nazwach: *Utrienia* (oparte na liturgii prawosławnej), *De natura sonoris nr 2*, *Magnificat*, *Lacrimosa*, *Te Deum*, i in. Penderecki otrzymał wiele zamówień. Skomponował liczne koncerty dla światowej sławy wirtuozów. Adresatami ich byli m.in. Mściśław Rostropowicz, Izaak Stern, Anne-Sophie Mutter, Jean-Pierre Rampal i Emanuel Ax. Rozpoczął też szeroko zakrojoną działalność pedagogiczną – wykładając w Hochschule für Musik w Essen, w Yale University of Music. Piastował także funkcję rektora krakowskiej Uczelni, której był wychowankiem. Powołano go na stanowisko dyrektora artystycznego

Filharmonii w Krakowie, Festiwalu Casals w Puerto Rico, na doradcę artystycznego Beijing (Pekin) Music Festival. Kreśląc sylwetkę wielkiego kompozytora i poruszając liczne aspekty jego życia trudno jest wszystko wyliczyć. Nie pominiemy jednak cyklu ośmiu symfonii, *Polskiego Requiem* oraz oper zatytułowanych: *Diabły z Loudun*, *Raj utracony*, *Czarna maska* i *Ubu Król*, wystawianych na scenach największych teatrów operowych świata. Od 1970 r. Penderecki prowadził szeroko zakrojoną karierę dyrygencką.

Nasz wielki twórca otrzymał najwyższe odznaczenie państwowe – Order Orła Białego, także liczne nagrody, wyróżnienia i doktoraty honorowe pochodzące z rozmaitych krajów.

Jednym z marzeń Pendereckiego było stworzenie nowego centrum muzyki. Marzenie to zostało urzeczywistnione. W Lusławicach, niedaleko jego dworku, miejsca zamieszkania wznosił wspianą budynek z salą koncertową, z biblioteką, z salami konferencyjnymi i studiami do ćwiczeń. W centrum tym, noszącym jego imię, od kilku lat odbywają się koncerty i festiwale. Obok znanych artystów o międzynarodowej reputacji występują tam młodzi, wybijający się muzycy.

Mozart, Schubert, Chopin, Mendelssohn zmarli młodo, nie osiągając wieku innych twórców.

Z upływem czasu styl ich kompozycji niewiele się zmienił. Słuchając utworów wielu innych kompozytorów łatwo możemy dostrzec kolejne etapy ich twórczości. Weźmy za przykład Szymanowskiego. Pomimo jakiejś wspólnej nuty, uchwytnej, trudnej do zdefiniowania, a wynikającej z jego nieprzeciętnej osobowości, jego dzieła reprezentujące impresjonizm i neofolklorizm znacznie się różnią od pierwszych kompozycji utrzymanych w stylu postromantycznym.

Krzysztof Penderecki osiągając apogeum nowych zdobyczy na polu sonoryzmu, począwszy od kompozycji *Pasji* zbliżył się do universum dźwiękowego minionych epok. Jedni upatrują w tym, „zdradę awangardy”, inni – wprost odwrotnie – przejaw dojrzałości, stałych

poszukiwań, chęci kroczenie własną drogą.

Nie chcąc cytować słów krytyki i rozmaitych opinii, często zmiennych wraz z upływem czasu, przypomnę wypowiedź samego twórcy. Będą to fragmenty wywiadu dokonanego przez Bartosza Kamińskiego, a zatytułowanego „*Krzysztof Penderecki: myślę, że minął już czas genialnych mistrzów*” (Dziennik, wtorek 18.04.2006).

B.K.: Swoje ostatnie dzieło VIII Symfonię, niedawno zaprezentowaną w kraju po raz pierwszy, zatytułował pan „Pieśni przemijania”. Nie tylko ze względu na tytuł zdaje się ona być bardzo ważnym utworem w pana bogatym dorobku...

K. P.: To pierwszy większy utwór wokalno-instrumentalny, w którym nie sięgnąłem po teksty religijne, ale świeckie. Splatają się w nim dwie moje największe pasje: muzyka i zainteresowanie drzewami. (...) Zebrałem ponad 250

wierszy, z których wybrałem ostatecznie 10. Kluczem stał się temat przemijania. Po zeszłorocznej światowej prapremierze w Luksemburgu ktoś napisał, że dzieło to można uznać za mój testament. I ja się zgadzam. Takie utwory nie powstają z przypadku. To w pełni świadomy wybór, w którym odbija się całe moje doświadczenie życiowe i twórcze. (...)

B.K. Powtarza pan, że nie skomponuje więcej niż dziewięć symfonii...

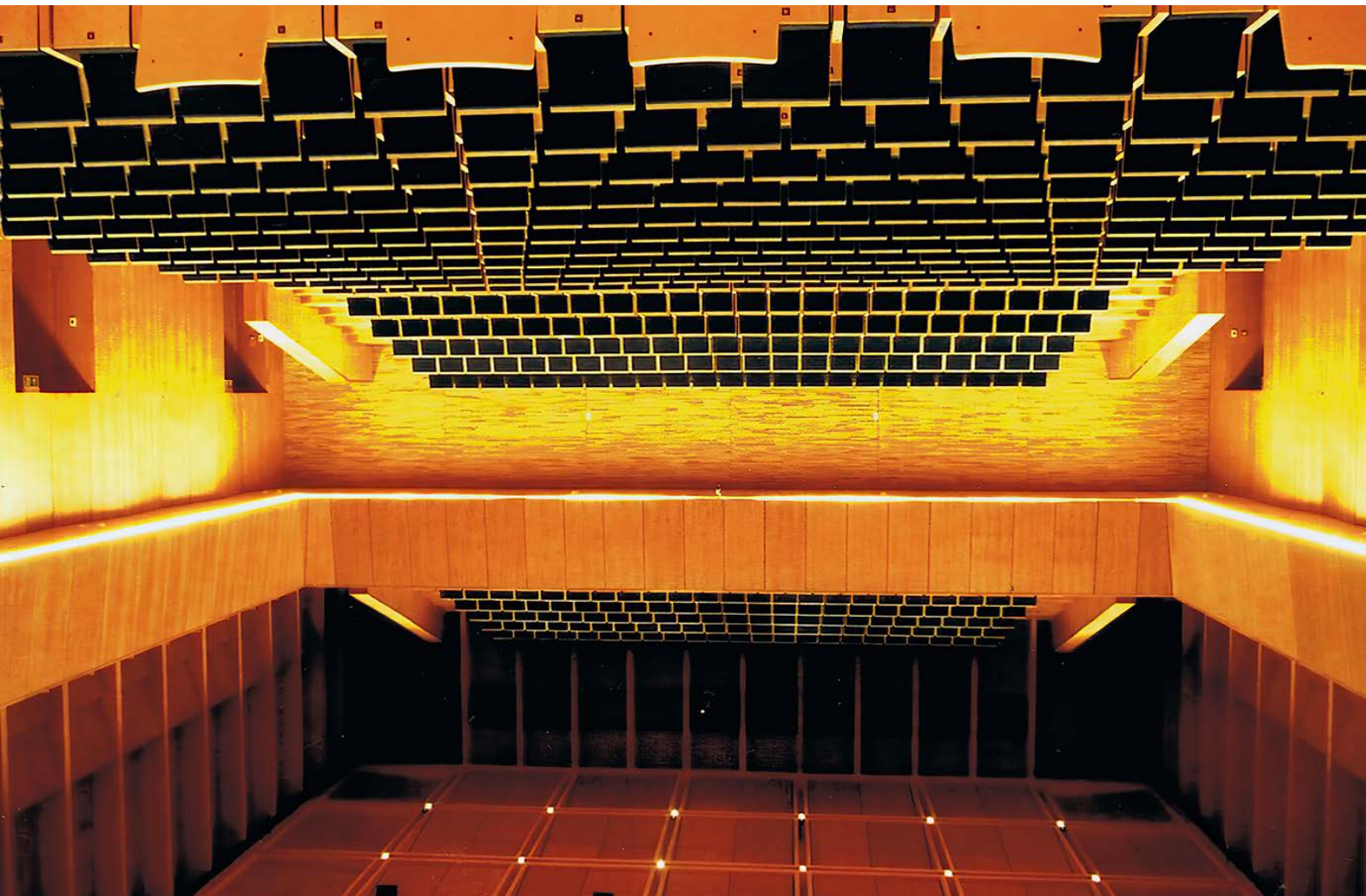
K.P. Żaden z wielkich romantyków nie ukończył więcej niż dziewięć symfonii: Beethoven,

Schubert, Dwořák, Mahler. Powiedziałem kiedyś żartem, że napiszę tylko dziewięć symfonii, bo jestem przesądny. Potem w to uwierzyłem i dziś wiem, że na pewno nie zacznę 10.

B.K. Tymczasem nie ukończył pan jeszcze VI Symfonii.

K.P. Nie jest czymś niezwykłym, że napisałem VII i VIII Symfonię, nim ukończyłem VI. Historia muzyki zna wiele podobnych przypadków. (...) Pomysł musi dojrzeć. Czasem zaczynam pracę nad utworem i odkładam ją, zajmując się innymi kompozycjami. Idea VI Symfonii narodziła się już sześć lat temu, zaraz po tym, jak napisałem „Siedem bram Jerozolimy”. Moja twórczość ma cykliczny charakter, często jedno dzieło wynika z drugiego, jest niejako jego dopełnieniem pod względem tematu i muzycznego języka. (...) Są tematy, wokół których krąży od dłuższego czasu, czekając na odpowiedni moment na dokończenie pracy. Jednym z nich jest opera na kanwie „Fedry” Racina. Także oratorium na Boże Narodzenie, ale w formie jasełek, bo to bardziej oryginalne i bliskie polskiej tradycji. W rodzinnej Dębicy jako dziecko grywałem w jasełkowych przedstawieniach, a mój ojciec pisał teksty.

Lustawice, sala koncertowa



B.K. Sławę zdobył pan najpierw w kręgach awangardy, by porzucić jej szeregi, tworząc w 1966 r. „Pasję wg św. Łukasza. Często zapomina się jednak, że wybór podobnego tematu był wówczas odważnym posunięciem nie tylko ze względów artystycznych.

K.P. W latach 50. i 60. muzyka religijna była u nas źle widziana. Nawet sakralne dzieła Bacha grywano bardzo rzadko. „Pasję” postanowiłem napisać z przekory. (...) Sukces w Niemczech był tak wielki, że nie można go było przemilczeć w kraju. „Pasja” była pierwszym utworem, który mógł być wykonany w kościele przez państwowy chór i orkiestrę, co wcześniej było nie do pomyślenia. Był to też więc poniekąd sukces polityczny. Komuniści mieli jednak respekt dla artystów, którego teraz nie widzę. Żyjemy w czasach terrozu tzw. masowego gustu, co sprowadza się do promocji tandetnej rozrywki. Choćby w telewizji publicznej.

B.K. Pan należy do bardzo płodnych kompozytorów. W czym tkwi tajemnica? W systemie pracy?

K.P. Wbrew temu, co się sądzi, nie należę do bardzo pracowitych ludzi. Nie jestem nawet w małej części tak pracowity jak moja żona. To raczej zasługa zdolności. (...) To kwestia koncentracji. I przemyślanego planu. Także wygórowanych ambicji – ciągle chcę wydrzeć z siebie coś innego. Wciąż poszukuję nowych rozwiązań, nowego języka, uciekam od siebie. Wydaje mi się, że swego najważniejszego dzieła jeszcze nie stworzyłem. Jak nie komponuję przez trzy miesiące, co się zdarza, to jestem chory.

B.K. A natchnienie?

K.P. Natchnienie to są te ważne chwile, kiedy przychodzi do głowy wyjątkowy pomysł. (...)

B.K. A jest wśród żyjących kompozytorów ktoś, kogo darzy pan szczególną estymą?

K.P. Nie ma współcześnie kompozytora, który fascynowałby mnie w takim

stopniu jak nieżyjący już Szostakowicz czy Messiaen. To byli tytani. A czas tytanów, wydaje mi się, już minął.

B.K. A skąd wzięła się pana fascynacja drzewami?

K.P. To zainteresowanie przejąłem po dziadku. Razem chodziliśmy do lasu. (...) Za domem mieliśmy ogród, w którym sadziliśmy drzewa. Przyszła wojna i straciliśmy dom i ogród. Zapomniałem o drzewach. Aż do czasu, kiedy kupiłem dworek w Lusławicach i zapragnąłem stworzyć własny ogród. (...) Tam czuję się najlepiej, zwłaszcza wiosną. Wstaję o świcie razem z ptakami i komponuję. (...) Ten park to moja największa symfonia – nieustannie ją tworzę (...) patrzę, jak rośnie to, co posadziłem. Wiem, że przetrwa długo po mojej śmierci.

B.K. W pana słowach można wyczytać niewiarę czy też obawę...

K.P. ...Że drzewa przetrwają, a muzyka nie?! Hmm... Myślę, że przetrwa jedno i drugie.

Nasuwa się myśl, że nie jest to kwestią ogrodnictwa samego w sobie. Była to zapewne miłość do roślin, do ich wzrastania w sile, równocześnie zakorzeniony sentyment do ziemi, do klimatu. Mówiąc o Krakowie i jego specyficznej atmosferze, Penderecki lubił używać określenia *Genius loci*. Pejzaż i urok Galicji jest wysoce inspirujący. Reminiscencje z dzieciństwa, przeżyte pory roku, niegdyś usłyszany zaśpiew, rytm tańca – choćby głęboko ukryte, prawie zapomniane – w pewnych chwilach dadzą znać o sobie. W czwartym kwartecie smyczkowym – jednym z ostatnich jego dzieł – słychać echo motywów chasydzkiej muzyki. Usłyszałem ten kwartet w Brukseli w grudniu 2016 r. Po koncercie podszedłem do Miśtrza i zapytałem go o te przebijające się rytmy i zaśpiewy. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. W ciszy patrzył na mnie chwilę. Widziałem go wtedy po raz ostatni.



Bolesław

Bieniasz

Belgia

ŻYCIORYSY I BIOGRAMY

Życie w grupie poddane jest najrozmaitszym prawom.

Niemal bez wyjątków.

Bywają chwile, kiedy należy się przedstawić jasno i dokładnie.

Poza przesłuchaniami organizowanymi przez pracodawców, służą temu życiorysy sporządzane według zasady – czarne na białym.

Pisują je wszyscy – od pomocnika magazyniera aż po kandydata na wysokie stanowisko. W przypadku publikacji, osobę określi nota biograficzna lub tzw. biogram (będący nowym terminem torującym sobie drogę), zredagowany w 3-ciej osobie.

Już po poznanii kilku danych, jak miejsce i data urodzenia, a także szkoły, do których się uczęszczało, weryfikator wczytujący się w przedłożony mu życiorys niechybnie coś wywnioskuje, nawet pomimo podobieństwa profilu większej ilości osób i ich pospoliczych

nazwisk. Dodatkowe informacje przybliżą – lub niestety oddalą – oczekiwany przez piszącego awans, czy też szansę na zdobycie upragnionej parceli na rynku pracy. Życiorysy są jakby poszerzoną kartą wizytową. Liczy się w nich każdy detal i jego miejsce na tej oficjalnej kartce papieru. Nie wystarczy dobre chęci, natchnione patrzyenie w sufit czy też branie łatwych chwytów za dobrą monetę.

Przede wszystkim należy odróżnić fakty od słów, które je reprezentują. Te same dane, poniekąd obiektywne i bezosobowe lecz wyrażone nieodpowiednim słowem, mogą przemówić w odmienny sposób, o czym zapewne nie wszyscy wiedzą. Podobnie, oczy migdałowe czy też zbyt jasna lub ciemna cera niekoniecznie pasują do rysów każdej twarzy. Specjalista wychwyci to w mig. Niegdyś mawiano – *znać pana po cholewach*. Czy każdy z nas wniknął w pojęcie mikijażu zastępującego fotogeniczność? To odnośnie karnacji. A co

do ogólnego wyglądu – wartoby pomyśleć o krawcu, fryzjerze czy też zręcznym fotografie, o ile nie jest konieczny, bo i to się zdarza, mały retusz operacji plastycznej. Dowiedziałem się o tym od wielu specjalistów.

Przy wstępnej selekcji, zwierzchnik lub przedsiębiorca, nie widząc jeszcze kandydata, nie słysząc jego głosu lecz kierując się sobie tylko znanymi kryteriami, oceni go po kilkunastu napisanych słowach. W szczególnych przypadkach niektórzy pracodawcy korzystają z usług grafologów, astrologów, niekiedy nawet z pomocy autentycznych mediów. Okazuje się więc, że pisanie życiorysu nie jest bynajmniej banalną sprawą. Wprost przeciwnie – niezwykle trudnym przedsięwzięciem.

Jeszcze do niedawna pisywano *curriculum vitae* ot tak – ciurkiem, niemal jak naiwną opowieść o sobie, lubując się przy tym w przestarzałych zwrotach. Bywało też, że powierzano jego redakcję członkom rodziny obytym ze stylem urzędowym lub osobom wysoce doświadczonym np.

znajomym mecenasom, emerytowanym sekretarkom lub gimnazjalnym profesorom literatury. Rewanżowano się im w sposób pełen wynalazczości. Tak też – ilustrowana książka, sztych oprawiony w mahoniową ramkę, wykwinny bukiet kwiatów, zaproszenie do restauracji gastronomicznej czy też wyręczenie kogoś w jakiejś delikatnej sprawie – służyły za najczęściej spotykaną zapłatę. Obdarowywani książkami, kwiatami czy nawet tortem, o ile był pierwszej świeżości – by pozbyć się długu – z kolei obdarowywali innych otrzymanymi prezentami. Rzadko co prawda ale i to się zdarzało, że upominek powracał do osoby rozpoczynającej cykl obdarowywać.

Wszystko się zmienia. Dlaczego więc życiorysy i biogramy miałyby się oprzeć presji ducha czasu? Obecnie – tracąc pewnego rodzaju dowolność i styl zbliżony do wypracowań szkolnych – życiorysy przybrały formę jakby archipelagu zespołów tematycznych dotyczących: studiów i kariery / zajęć ubocznych / otrzymanych odznaczeń / prywatnych zainteresowań / niekiedy też rodziców, dziadków, współmałżonka, rodzeństwa, nawet dzieci. Dla dopełnienia obrazu nie zapomnijmy i o tym, że w pewnych niechwalebnych

okresach wygrywał ten, kto był sierotą i nie musiał się absolutnie z niczego tłumaczyć. Podchodząc do problemu z praktycznego punktu widzenia należy stwierdzić, że nie wszyscy są jednakowo samodzielni i zaradni, i nie wszyscy otoczeni są znajomymi o administracyjnym obyciu. Aktualnie, przy redagowaniu życiorysu mogą służyć pomocą rozmaite przykłady i schematy drogo sprzedawane na stronach specjalistycznych książek. Podobno to, co jest darmowe nic nie jest warte. Trzeba więc za wszystko płacić.

Niektóre życiorysy pisane w tradycyjny i skrótowy sposób bywają oszczędne w fakty, często skąpe w słowa. Można by je określić jako zbyt skromne. Po ich lekturze nie odnosi się bynajmniej dobrego wrażenia. Pozostawiają one tak zwykłego czytelnika, jak i weryfikatora, na granicy pomówienia petenta o brak kwalifikacji lub o ukrywanie niechlubnej przeszłości. To, co jednego bawi i przekonuje, innego może zmrozić. Większość życiorysów jest jednak tak szczegółowa, że trzeba by niemal anielskiej cierpliwości, a często licznych godzin nadliczbowych, by je doczytać do końca. Najczęściej tego rodzaju litanie nie zawierają nic uchwytne, żadnych



zdj. Ewa Michałowska-Wolniewicz

konkretnych danych. Mimo to, ich – naiwni i nieświadomi swych luk – autorzy liczą na należy im poklask. Być może kieruje nimi modna kiedyś opinia, według której ilość niezawodnie przechodzi w jakość albo też nieomylnie w ich mniemaniu przypuszczenie, że dzięki skrupulatności detali i innych szczegółików dotyczących chronologicznie przedstawionych dokonań, zostaną przez kogoś zauważeni. Podobno każdy jest kowalem swego losu. Dewiza ta jest równie piękna, jak i omylna. Aby za bardzo nie popuścić cugli i tym samym nie dać się unieść potokowi słów, miejmy się na baczności. Zostawmy na boku czarowanie garncarstwem i metaloplastyką, przedstawianymi jako osobiste zamiłowanie, i powróćmy do zasadniczego tematu.

Zapewne niemal każdy słyszał o półkach archiwów ministerialnych, które zapadając się pod ciężarem podań, raportów i biogramów, powodują w konsekwencji doraźne straty, tym samym chwiejność budżetu. Do podobnych wypadków (także do innych) dochodzi zwykle nocą, w ciemności i przy drastycznym spadku temperatury związanym z wyłączeniem centralnego ogrzewania. Odnośnie stosowanych oszczędności w instytucjach publicznych można by spekulować niemalże bez końca i snuć daleko idące przypuszczenia, co niestety nie jest przedmiotem niniejszego studium.

Kolejne pokolenia wciąż następują po sobie i odchodzą, niezmiennie, jedno za drugim. Jakby w zamian za to, wspiera nas pewne przysłowie, dzieło poprzedników, zapewniające, że: *nic w przyrodzie nie ginie* i – założmy – że nic się też nie gubi. Proszę o tym nie zapomnieć. Po latach drobiazgowego gromadzenia, kustosze archiwów wyrzucają na śmietnik lub na przemiał przedawnione już akta. Niedługo potem, stopy zużytych papierów – wybiełonych w drodze – powracają na rynek, jako nowe strony. Zapełnią je kolejne generacje. Każdy własną historią, każdy nieco inaczej. Życiorysy wyrastają

jak grzyby po deszczu albo jak chwasty z niewidocznych kłączy.

Uczęszczając na rozmaite koncerty, spektakle i indywidualne popisy zaawansowanych uczniów, czytałem niejedno *curriculum vitae* i niejedno *biogram*, dziwiąc się decyzji ich autorów lub osób za nie odpowiedzialnych. Jak można u progu kariery artystycznej umieścić w programie koncertowym wzmiankę, że młody, zapowiadający się artysta w wieku lat sześciu osiągnął na półrocznym egzaminie z solfeżu 91 i pół punktu? Jaki ma związek podobna ocena z występem i oczekiwanymi doznaniem melomanów? Czy smar w osi koła ważniejszy jest od krajobrazu i samej podróży? Jeden z najwybitniejszych kompozytorów XX w. nigdy nie ukończył studiów, którymi inni – niemal z konieczności – chętną się w swych CV. Profesor młodego Beethovena, wiedziony dalekosiężną wizją, nie wróżył mu żadnej przyszłości. Nie mylmy jednak życiorysów-podań z nieformalnymi przekazami dotyczącymi kultury. Nie zapomnijmy również o walce o byt, czyli o wkręcaniu się w karierę zawodową i o jej stałym podtrzymywaniu. Muzycy soliści, redagując swą notę biograficzną, lubią posłużyć się nazwiskiem swych mistrzów. Tym samym „wsiadają na przyczepkę” reputowanych profesorów. Niech ich ciągną dokąd tylko można. Inni, często kierowani niewiadomą nam motywacją, unikają tej ewentualności nieomal jak ognia, podając zaledwie nazwę słynnej, lub nieco mniej, szkoły. Być może skrzywdził ich mentor i teraz, kiedy prowadzą byt samodzielny, odpłacają mu topornym milczeniem. Może też ich przewodnik, choćby najlepszy, cieszy się mniejszą renomą, niż mistrz ich konkurentów? Niektórzy więc, jeśli są takiego właśnie pokroju lub – z czasem – takimi się stali, nie wspominają o swym profesorze, unikając domniemanego ryzyka.

Powróćmy do tematyki nowoczesnych życiorysów i biogramów,

traktujących informacje zbiorczo. By lepiej przedstawić swój osobisty profil, poza wymienieniem studiów, dyplomów, stażów i zajmowanych stanowisk, należy ujawnić osobiste zainteresowania albo – prawdziwe lub fikcyjne – *hobby*, co jednemu pomoże, a innemu okaże się przysłowiową kulą u nogi, wciągającą w przepastne odmęty. Naukowiec chętnie wspomni o uprawianym sporcie, o odprężających zajęciach, pracy społecznej czy też o kulturowanym kolekcjonerstwie ukazującym ukrytą rysę osobowości, której nie stłamsił żelazny rygor studiów. I tu może się okazać, że dla komisji rekrutacyjnej o niekorzystnej dla kandydata mentalności, zbiór najpiękniejszych egzemplarzy czterolistnej koniczyny, zębów rekina, zdjęć kameleona czy pudełek po pastylkach, w miejsce ujawnienia wyrafinowanego gustu i ukrytej fantazji, stanowić będzie – krótko mówiąc – cechę dziwną i ośmieszającą. Podobnie słabość do białej broni czy przedmiotów kultu – zależy też jakich i z jakiej części świata – może okazać się bardzo źle widziana, choć i tu, tak moda, jak i chwilowe tendencje zmieniają się często.

Życiorys, pozwolę sobie przypomnieć, pisze się w konkretnym celu i w nadziei długotrwałego sukcesu. Jak też zostanie przyjęty? Na to pytanie nie ma niestety jednoznacznej odpowiedzi i nikt nam nie przybije stempla gwarancji. Tymczasem coraz więcej kandydatów piszących życiorysy ubiega się o konkretną posadę i stanowisko. Czyż nie jest więc lepiej, zamiast dokonywać karkołomnych kompilacji czy nawet z ręcznie ukrytego plagiatu, liczyć na łut szczęścia lub bliżej nieokreślone protekcje? Wydaje się jednak, że nie. Zastrzegam się, że cytuję jedynie fakty znane mi z dobrze wyselekcjonowanych plotek. Protekcje są zazwyczaj śliskim terenem, a nieprzewidziana szansa dotyczy zaledwie jednej czy dwóch osób na 20 do 30 tysięcy. Częściej się słyszy o zagubionych kartotekach.

WYDAWAŁO SIĘ WAM, ŻE TO POLSKA I POLACY MAJĄ DZIEJOWO PRZEP...? POWIEDZCIE TO KURDOM

Wrzesień 1939 właśnie się dzieje na moich oczach. Jestem Polakiem, mogę wielu rzeczy nie wiedzieć, nie kumać każdego splotu skomplikowanych stosunków bliskowschodnich, ale mój kompas mówi mi zawsze, kiedy bogaty i syty wystawia do wiatru słabszego. Intuicja moich przodków podpowiada mi, że ten swąd, który czuję, ten fetor, to zdrada i hańba.

Tylko, że teraz Zachód, to także my — ja, ty. I my właśnie sprzedajemy ponuremu kosiarzowi ze Stambułu Kurdów, Kurdyjki, kurdyjskie dzieci. Na rzeź.

Tak, owszem — to decyzja Trumpa, że wycofuje właśnie amerykańskich chłopców z północnej Syrii, ale obojętność Zachodu to już my. A jak ja, ty, my jesteśmy odpowiedzialni za ten dramat, za to Abbeville, Jaltę, Monachium w roku 2019? Pozwól, że Ci to wytłumaczę, tak jak to rozumiem i wyczuwam. I chyba niewiele się pomyłę.

Posłuchaj, to do Ciebie.

Posłuchaj, to do Ciebie.

Pamiętasz, jak wszystkie syte społeczeństwa Europy, w tym najbardziej nasze cudne wyszehradzkie kraiki, dostały kilka lat temu apopleksji na samo słowo "uchodźcy"? No niby nic takiego, nie chcemy „”, mówił co drugi Polak

i Polka nad grillem, a dzieci w szkołach zaczęły się wyzywać "ty uchodźco!".

Ale żyjemy w demokracji, zatem politycy muszą rachować głosy, żeby trzymać się u władzy, wszystko jedno czy w imię koryta (większość), czy w poczuciu jakiejś misji (mniejszość, która jest, bo znam osobiście). I tak nasza piękna Europa najpierw się zakrzusiła, a potem powiedziała do Sułtana Erdogana z Turcji: hej dogadajmy się. I Sułtan powiedział, dobra, uszczelnię granicę, przytrzymam przepływ ludzkich mas przez Turcję, jak dacie mi wolną rękę tu, i tu, i tu. Ta wolna ręka dzierżyła wprawdzie już nóż. Albo siekiere. Ale żeby wasze pięknoduchy były syte, mrucał dalej Sułtan, powiecie, że obłożycie mnie sankcjami, zawieszicie jakieś tam projekty wspólne, uwalicie nasze negocjacje z wejściem do UE, która i tak mi zwisa, a ja się uśmiechnę i będzie deal.

Nasza antyuchodźcza histeria – ich deal. Tak to było. I tak to jest.

I teraz, kiedy Trump wycofuje swoje wojska z północnej Syrii, czyli części Kurdystanu, zwanej Rożawą, które to wojska były jak ten dyplomata z immunitetem – nie musiał nic robić, a chronił – nasze rządy, w tym nasz polski, niezależnie od wyniku wyborów

– ani zipną. Raz żeby nie podpadać USA, bo przecież wszystkie nasze rządy były pokłony przed USA, a dwa, żeby wujek znad Bosforu nie otworzył granic i nie zalał nas tłumem uchodźców, których niby moglibyśmy przyjąć, bo jest nas setki tysięcy parafii katolickich, więc jak namawiał Papież Franciszek, po jednej rodzinie na parafię byśmy dali radę, ale nie damy. Bo jesteśmy jacy jesteśmy, ledwo pojawi się pierwsza grupa uchodźcza a zaczną się targi, historyczne wrzaski, którym nie będzie końca, demokratyczne rządy zaczną upadać, urosną w siłę europejczy neonaziści od Lizbony po Warszawę i dopiero się zrobi.

Ale siłę neonazistom, Erdoganowi, Putinowi, naszym marionetkowym, niezdolnym do wydobycia z siebie spójnej pozytywnej wizji rządów daliśmy my. Ja, ty, my.

Kurdowie to największy naród na świecie pozbawiony państwowej reprezentacji, mieszkający na styku Iraku, Turcji, Syrii oraz Iranu. Wydawało się wam, że to Polska i Polacy mają dziejowo przepier...? Powiedzcie to Kurdom.

W ogóle Kurdowie byli okej, jak trzeba było się bić z Państwem Islamskim albo Saddamem Husajnem.

Pamiętam rok 1991, podpuszczeni przez Busha Seniora szyici z południa Iraku i Kurdowie z północy wzniesli powstania przeciwko Saddamowi, ale koalicja zatrzymała się po zajęciu Kuwejtu i patrzyła niczym Armia Czerwona na Warszawę w 1944 zza Wisły, jak Saddam truje iperytem, masakruje bombami kasetowymi.

Chris de Burgh zorganizował wtedy piękny koncert pod tytułem "Simple Truth" na rzecz kurdyjskich uchodźców. Było pięknie, wzruszająco, przebitki między stadionem na Wembley a tłumami ludzi płynącymi przez górskie doliny, cholera wie gdzie. I tyle.

Kurdowie stawali do walki z u boku Zachodu, bo wierzyli, że im to da coś na wzór autonomii. Kiedyś. Jakoś. Ostatnio był moment kiedy byli w zasadzie jedyną siłą przeciwko ISIS, a czarni fundamentalistyczni macho bali się jak ognia kurdyjskich wojowniczek, bo śmierć z ich ręki była hańbiącą dla islamistycznego maczo.

A nasi politycy jak ognia bali się wysłania naszych dobrze odżywionych chłopców do jakiegokolwiek bitki lądowej. Taka wojna źle wygląda w telewizji. Nie sprzyja reelekcji. Mimo, że żołnierz ma walczyć. Niby.

Ale w demokracji lepiej wyglądają zdjęcia z kamer termowizyjnych, na których widać tylko krzyżyk i bam. Nie widać krwi, nie widać pourywanych kończyn, przestrzelonych korpusów. Dlatego z ISIS, za święty spokój nasz i wasz, walczyli Kurdowie i Kurdyjki. Taki bliskowschodni feminizm z kałachem w imię wolności i sprawiedliwości.

I teraz kiedy ISIS już jakby jest mniej groźne, między innymi dzięki Kurdom – Kurd i Kurdyjka zrobił swoje, Kurd i Kurdyjka może odejść. Jałta? Abbeville? Tak, jestem Polakiem i mi się to intuicyjnie, podskórnie tak kojarzy. Nawet nie kojarzy. Ja to czuję i jest we mnie gniew, wściekłość i wstyd. Bo to jest ta sama zdrada. Ta sama

hańba. Porzucenie sojusznika na polu walki. Felonia. Hańba.

Ale teraz Zachód to także ja, ty, my. Także kiedy podobnie jak Czeczeńcy, opuszczeni przez wszystkich, teraz Kurdowie zaczną się nagle wysadzać tu i tam w powietrze – to wiedz, że my ich takimi stworzyliśmy.

Także kiedy znowu pojawią się zdjęcia zmasakrowanych dzieci pokrytych betonitowym kurzem, to wiedz, że to ja, ty, my jesteśmy temu winni. Facet z Białego Domu też, ale ja, ty, my – również. My.

Ta wojna nigdy się nie skończyła.

Radosław Wiśniewski (rocznik 1974) jest poetą, pisarzem i publicystą, współzałożycielem Stowarzyszenia Żywych Poetów z Brzegu i sprzedawcą hurtowym urzędzeń niskoprądowych. Mieszka w Kiełczowie, pracuje we Wrocławiu, związany jest z Brzegiem. Powyższy tekst pochodzi z jego profilu na Facebooku i z portalu Onet wiadomosci.

Kurdyjskie żołnierki podczas operacji odbicia syryjskiego miasta Rakka z rąk Państwa Islamskiego, rok 2017. Fot. Autor



Podróżowanie w przestrzeni

MAŁGORZATA POŁUDNIAK
– artystka wizualna, poetka,
eseistka. Wydała tomy po-
etyckie: *Czekając na Malinę*
(2012), *Liczby nieparzyste*
(2014), *Mullaghmore* (2016),
*Pierwsze wspomnienie wiel-
kiego głodu* (2017), w przy-
gotowaniu do druku *Podró-
żowanie w przestrzeni*.

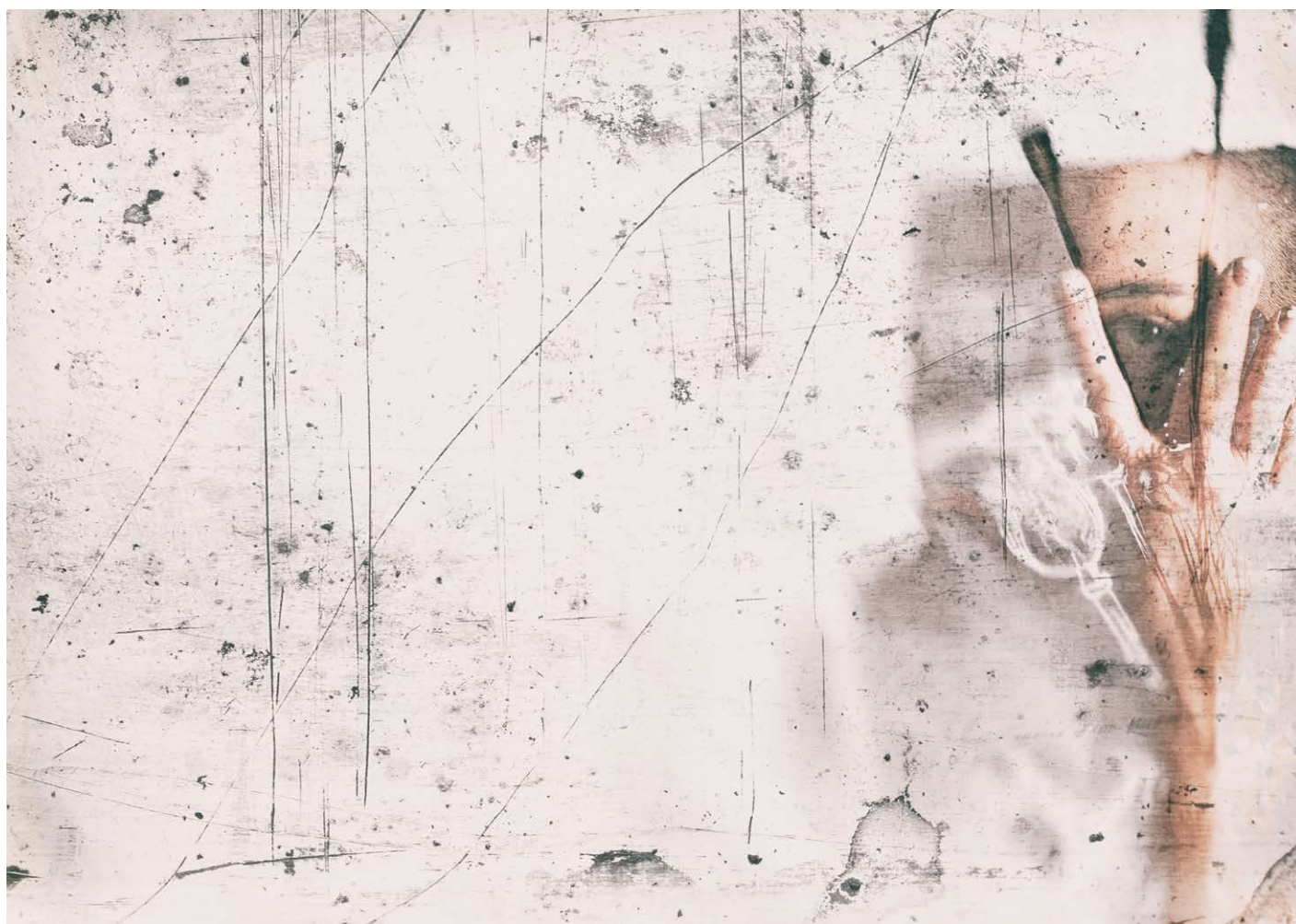
Richard Storey w książce *The Art of Persuasive Communication* napisał: „nie chodzi o to, co mówisz, ale o sposób, w jaki to mówisz”.

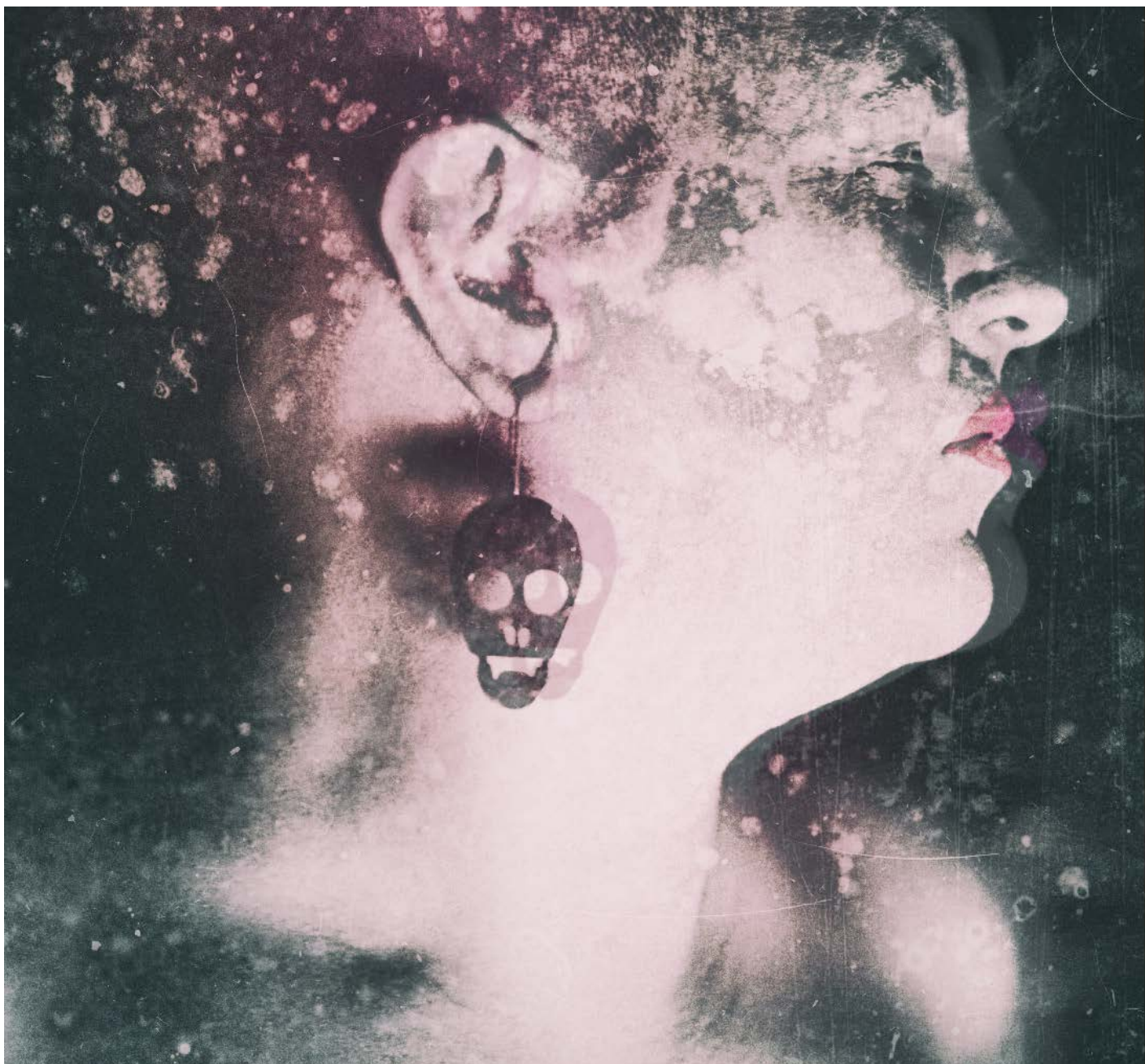
W poezji jest podobnie, komunikacja jest narzędziem i materiałem artysty. Wyraża nastrój i myśl (świat wewnętrzny), a jednocześnie odzwierciedla świat zewnętrzny. Jak wygląda ten proces? Jak „wymieszać farbę” – jak szukam obrazów, aby opowiedzieć, co jest potrzebne? Czy to świadomy proces?

Różowy pieprz, jeżówka purpurowa, kredki karminowe, zwinięte liście. Rulony wyblakłego papieru. Układam mozaiki

z wyschniętych much, które nagle opadły na parapet. Właściwie istoty żywe wymazują z natury gatunki wydmuchane wiatrem. Zapisują potomków w odpowiednim kodzie, szczęściu i nieszczęściu, zależy od osobliwości. A później stoję z metaforą w dłoni i zastanawiam się, czyje pragnienia odważam, układam na półkach, trwonię cudze wyobrażenie. Wyobrażnię trawę sępią, do świadczaniem, które replikuje się po każdej przespanej nocy.

„Jeśli człowiek zacznie od pewności, skończy na wątpliwościach; ale jeśli zechce





zacząć od wątpliwości, skończy na pewności”.

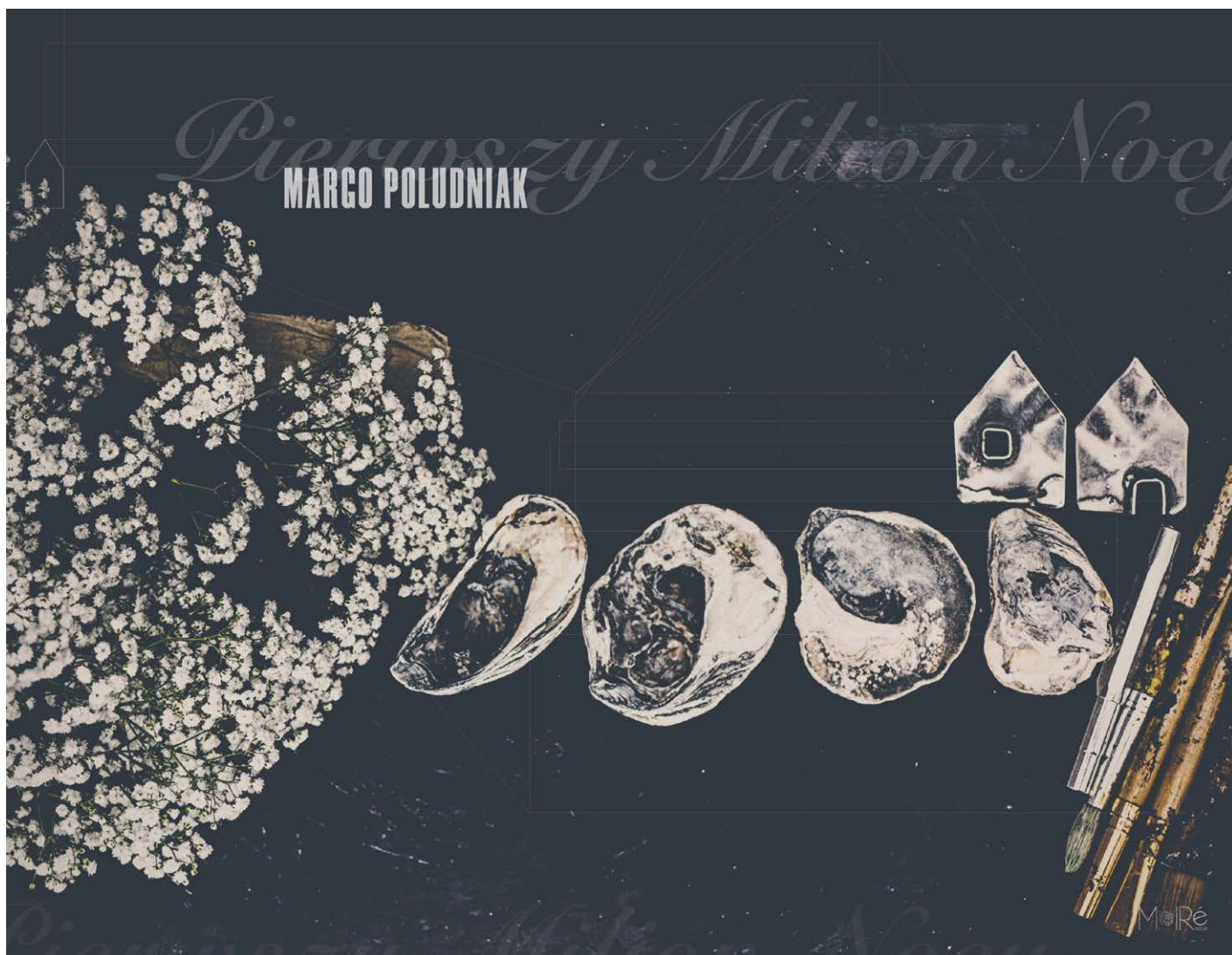
Esencję piękna ujawnia uwikłanie, a może uwięzienie na wyspie, wciąż próbuję zrozumieć siebie, pojąć świat. Pomimo wewnętrznej walki, wątpliwości, niepewności, zauważam, jak wypełniają się moje dni. Narodziny, dojrzewanie, śmierć i wszystko inne, praca w szkole, zabawa, nauka. Kameralne spotkania zawsze wiązały się z niechęcią, bo mam nie tylko łatwe dni. Podążam za głosami, szukając dziurki od klucza, która byłaby idealnie zsynchronizowana z moim

wyobrażeniem szczęścia. Wplątuje się w ciało, adekwatne lub mniej. Dostosuję do otoczenia, spotykam z naturą, życiem zależnym od innych. Obliczam straty, cierpię, próbuję stworzyć coś własnego i mówiącego coś głębszego o świadomości. Wypełniam wyobraźnię przestrzenią, gdzie żyją tylko stworzenia zrodzone z ludzi i zwierząt.

Samotność jako przywilej.

Coraz częściej czuję, że nie mam nic do powiedzenia towarzyszko. Formuły, konstrukcje, do których ludzie przywykli... Czy

to naprawdę ważne? Cały ten hałas, spotkania, networking, aktywność. Kiedyś chciałam należeć do jakiejś grupy, tęskniłam za akceptacją, chciałam być blisko, bo pragnęłam zrozumieć fenomen działań innych, trochę im poprzeshkadzać i wzbudzić twórczy ferment. Niestety odbiłam się od ściany. Z czasem zrozumiałam, że podzieliło nas poczucie estetyki, potrzeby społeczne i zainteresowania. Uświadomiłam sobie, że moja wyobraźnia i mój głód poznania to coś zupełnie innego i formalnie odeszłam od nich, świadomie i bez żalu. Czy izolacja jest konieczna? Po prostu tak wyszło. Nie



jest to jednak istotne, bo w efekcie końcowym powinienam być wdzięczna tym, którzy mieli na to wpływ, bo to dzięki ich postawie odrzuciłam cały przemysł kulturowy, który tak naprawdę niewiele oferuje, głównie, tylko zafałszowany obraz sukcesu. Dbam o krewnych i przyjaciół (choć w moim przypadku krewni i przyjaciele to ci sami ludzie). I dzielę się sztuką... Kim byłabym, gdybym ukrywała piękno w szufladach? Wszystkie te elementy chwytam w poszczególnych klatkach. Wygląd, uczciwe odpowiedzi, subtelny uśmiech i pewność siebie.

Moje zdolności poznawcze, emocjonalność, napięcie. Wzdychanie, nucenie pod nosem, funkcjonowanie tu i teraz, poszukiwanie i wykorzystywanie ponadczasowej mądrości klasyków. Poezja przychodzi i nie znika, zostaje w pamięci i czasem akceptuję ten wybór. Następnie osadzam w tym

słowie mój sposób wypowiedzi, który może być dość hermetyczny. Ale dzięki temu pozostaję ze sobą w harmonii. To co piszę, to suma mojej wrażliwości, inteligencji i zainteresowań. Jeśli chodzi o żywotność... Spójrz na ludzi wokół siebie i powiedz mi, kto cię interesuje. Co jest w nich atrakcyjnego? Z kim chciałabyś/chciałbyś się zmierzyć i poznać jej/jego smak?

Jednak przed słowami następuje proces uczenia się i analizy. Słowa służą konkretnemu celowi, więc jaki jest lub będzie cel? Jest tak wiele rzeczy, spraw, znaczeń. Nie wiedząc, kim jestem, czym jest dla mnie świat, historia jako kolebka życia; nie zajmowałabym się poezją. To jest mój eksperyment i dokąd mnie doprowadzi, do wiem się za jakiś czas. Lubię wywoływać w ludziach napięcie. Tak, podobają mi się, tego rodzaju emocje i wciąż mi towarzyszą

w poezji. Cała reszta to krajobrazy, grawitacja i świadoma obserwacja zachowań ludzi.

Muzyka lub cisza

Co tak naprawdę mnie pociesza? Oprócz kawy i czekolady? Sztuka i różnorodne historie opowiedane przez ludzi. Patrę na falujące powietrze i myślę o spotkaniach z obrazami i rzeźbami.

Wrażliwość

Mocno przeżywam zachodzące zmiany. Mam bardzo bogate życie. Nie nudzę się sobą, korzystam z intuicji, wyobraźni, wiedzy. Ta interaktywność jest ciągła i wciąż wymaga nowych bodźców. Tworzę figury retoryczne, ponieważ urozmaicają ton tego, co chcę zapisać. Aparat zmysłów jest dla mnie nadal czymś niezrozumiałym,

ale cieszę się tym błogosławieństwem, bo dlaczego nie miałbym tego robić?

Bez procesu poznawczego trudno dostrzec pragnienia i wartości, które motywują mnie do codziennego wychodzą naprzeciw. Powiązania, role, które w sobie kształtujemy, nasze motywy, wszystko to jest syntezą tego, kim jesteśmy. Zbliżamy się do ludzi, którzy są do nas podobni, stąd obserwacja siebie. Stosowne uwagi, kiedy poprawiamy się nawzajem, recenzujemy, to ewolucyjny proces twórczości. Bardzo przydatny, gdy człowiek stale się rozwija i poszukuje.

Jeśli kogoś lub coś kochasz, chcesz wiedzieć o nim jak najwięcej – o miejscu, ludziach, pokoleniach, kamieniach, roślinach, zwierzętach. Każdy zakątek, rzeka, jezioro, wodospad ma znaczenie. Precyzyjne wycinanie słów, by zgodnie z pulsowaniem oceanu przenosiły się w oczach i w wyobraźni. Obrazy stąd, zapach wiatru i ziemi. Oczywiście obrazy bywają różnie odbierane, ale to już jest rola czytelnika,

nie moja. Wiem, co zaszczepiłam w wierszach i tyle. Co z mojej wyspy wysp kielkuje w słowach? Wieczorne głośnie czytanie książek, rozmowy, angażowanie się w życie. Poznanie, obserwacja i bycie w tym wszystkim na poważnie. W jednej rozmowie nie da się wyjaśnić każdego pragnienia, które zmieniło się w obsesję. Głód tych ludzi, kiedy zaraza ziemniaczana strawiła pola. Odradzanie się tego, co koloniści przez lata próbowali w agresywny sposób wypełnić. Identyfikuję się z tym życiem. Dramatycznym, ale również pięknym, oświeconym i odważnym. Tutaj, w Irlandii, właściwie nie muszę szukać bodźców, one przeradzają się w emocje. Praktycznie w każdym miejscu jest jakiś pozostawiony ponad sto siedemdziesiąt lat temu dom lub cała osada. Znaków jest tak wiele... Z nimi odczuwam historie, opowieści i konkretne zdarzenia. Niektóre budzą we mnie smutek. Mimo piękna, jakie roztacza się dookoła. Staję i przerzucam w głowie slajdy. Wypowiadam bezgłośnie

modlitwy matek. Wracam do domu i zapisuję brzmienie słów. I nie wiem, co jest istotą mojej twórczości – bezbronność ludzi, którzy mieszkali i zostali zamordowani przez kolonistów czy pochłonięci przez ocean rybacy? Chmury ptaków czy ludzkie ciała unoszące się na wodzie?

Nie wiem, czy groza tych miejsc wpłynęła na mnie wystarczająco głęboko, bym potrafiła napisać o istocie, czyli o życiu, które mam tu i teraz. Swoboda wobec piękna, którą przyswoiłam na wyspie, oderwała mnie w jakimś stopniu od konsumpcjonizmu. Jestem zwrócona ku sobie. Czuję się wolna. Chociaż możliwe, że w przyszłości zmienię zdanie.

Tekst powstał jako kolaż „o mnie” na podstawie wywiadu, jakiego udzieliłam Aleksandrze Urbańczyk (książkioli.blogspot.com) w 2017 roku i innych przemyśleń.

Grafiki M. Południk



Rodzinne wiano, ważna tożsamość

Z AGATĄ OBAREWICZ Dyrektorką Artystyczną Domu Pracy Twórczej „U Hrabiny” im. Johanne Juliane Schubert Ornamental Farm Bukowiec, oraz jej córką PATRYCJĄ OBAREWICZ rozmawia przewodniczka sudecka Marta Mejer.

MM: Wiedziałaś, że Twoja córka Patrycja będzie pisać ikony?

APO: Nie ukrywam, że ogromnie ciekawiło mnie, do jakiego punktu dojdzie Patrycja, ze swoimi zainteresowaniami. Wychowywanie obu córek tak otwartych na bodźce i emocje było dla mnie niezwykłą przygodą i nijako powrotem do własnego dzieciństwa. Jako młoda matka byłam na tyle już świadoma na drodze swojej tożsamości, iż wiedziałam, że moje córki, ja i moja siostra, nieświadomie i świadomie, stajemy się częścią testamentu tych wszystkich kobiet w rodzinie, które były przed nami, użyczyły nam swojej krwi, genów. Wiedziałam, czułam

że jesteśmy przedłużeniem łańcucha uczuć i emocji, który rozpoczął swój żywot dawno, a to co teraz robimy, kim jesteśmy, to dzieło nie tylko pracy nad sobą ale i zgoda na przyjęcie tego co zostało nam ofiarowane w wianie od przodkiń naszych, tych silnych kobiet, ze swoimi bólami, traumami, chorobami, ale i pasjami, miłościami, zachwytem i namiętnościami. Wracając w tym kontekście do tematu i zatrzymując się na Patrycji, nie zdziwiłabym się, gdyby została Alchemikiem. Wszystko co ją fascynowało wydobywała z natury. Drzewo, kamień, rośliny. Z tych naturalnych atrybutów tworzyła nowe światy, nie tylko prace plastyczne, ale barwniki, zabawki, a z czasem potrawy. Oczywiście wzorzec staraliśmy się zapodać dzieciom w domu. Nie tylko przez kontakt z naturą, ale potrzebą współlistnienia obok, w jedności, spójności, odpowiedzialności za siebie nawzajem, właśnie ta potrzeba nadała nam wszystkim w rodzinie sens. Nic więc dziwnego dla mnie, że z pozycji tego małego Alchemika, w pewnym momencie, spojrzęła na świat,



Zdjęcie: z arch. A. Obarewicz



młoda, piękna kobieta, wyedukowana w pisaniu ikon, tworząca swoje dzieła w naturze i z natury, czerpiąca z tego ogromną siłę i rozdająca tym samym pokłady energii innym, wyczulonym na te naturalne emocje. Patrycja dzisiaj jest kobietą świadomą swojego pochodzenia, miejsca w kulturze, silną w warsztacie, łasą na wiedzę.

MM: Trzeba było wyjechać aż do Lwowa po nauki pisania ikon?

APO: Na wyjazd do Lwowa wpłynęło wiele czynników jako suma pewnych ważnych historii. Moja babcia Stanisława, uzdolniona malarsko uczyła się we Lwowie. Cała rodzina ze strony ojca i matki pochodzi z kresów. Lwów mamy wszyscy w sercu od zawsze. Wiedzieliśmy, że wojna przerwała babci edukację artystyczną we Lwowie. A kiedy prababcia przyśniła się Patrycji, rozmawiając z nią o malarstwie, nie mieliśmy wątpliwości, że zrobimy wiele by we Lwowie spróbowała swoich sił. Patrycji chodziło o studia intensywne i profesjonalne w zakresie pisania ikon. Lwów z mistrzami pisania ikon, zdawał się spełniać te oczekiwania.

MM: Ikona to nie jest tanie dzieło. A mimo to znajdują się chętni na zakup takich profesjonalnych obrazów?

APO: Ale jak może to być inaczej. Ikona to proces w tworzeniu dzieła. Od czystej deski do powstania napisanej ikony mija czasem kilka tygodni. Barwniki do niej też powstają na bieżąco z naturalnych składników. Jeśli ikona jest kopią, to w porządku, można proces przyspieszyć, ale jeśli to dzieło autorskie, to czas zaczyna rozciągać prace jak guma. Tylko cierpliwość i wewnętrzny spokój nie powodują wewnętrznego rozproszenia. Ikona to nie jest dzieło przypadku, efekt chwilowej namiętności czy natchnienia, to droga, to piękna droga. Patrycja pewnie opowiedziałaby o tym dużo ciekawiej i mądrzej, ale skoro pytasz mnie, osoby bliskiej, ale mimo wszystko z boku, próbuje namalować słowami to co widzę obserwując ikonopisarkę i jej świat, jaki powstaje przy takim sposobie na życie i staje się nierozzerwalny z nią.

MM: W ikonach Patrycji, które przygotowuje na wystawę, jest wiele mroku. To jakiś kod?

APO: Wolałabym by to ona o tym opowiedziała, ale oczywiście, coś tam wiem. Dużo czasu spędzamy na rozmowach na opowiadaniu tych światów. Dla Patrycji, szukanie światła w mrocznym wymiarze, w ciemności jest jak iskra nadziei, to taki nieoczywisty sukces. Meta w dotarciu do sensu przez człowieka. Ona w ikonie, w symbolach szuka okien, drzwi, przez które człowiek dociera do siebie, do swojego Boga, do Tajemnicy, do sacrum, które potrzebuje do oddychania, do zadumy, albo chociaż i tylko do ciszy i spokoju.

MM: Patrycio opowiedz nam troszkę o sobie, bo Twoja Mama bardzo mnie zafascynowała opowiadaniem o Tobie.

PO: Tworzę ikony. To znaczy tworzę drzwi. Ikona to dla mnie drzwi do tego, co jest po drugiej stronie widzialnej materii.

Oczywiście mam świadomość, iż temat duchowości, mistycyzmu ma bardzo indywidualny obraz. Jest też sferą intymną, czasami aż nad to. Jednak ja wyczuwam w tej materii powołanie do tworzenia przejścia... Jedni z nas prowadzą przez słowo do emocji, zmysłów, drżenia ciała, inni – jak ja, w co wierzę – pomagają obrazem dotrzeć do kontaktu z tym, co nie do nazwania, nie do opisanego... do rozmowy z tym Absolutem, Jądrem wszelkiej dobroci i spokoju. Nie chcę jednoznacznie nazywać tego świata przez pryzmat określonej religii, określonych ram tradycji. Chociaż bezsprzecznie tradycja w tworzeniu ikony jest moim umiłowanym fetyszem, sposobem tworzenia obrazu – dla każdego indywidualnie, według potrzeb serca i duszy.

Nie tylko studia we Lwowie, ale kontakt z mistrzami tematu, wybitnymi artystami, anonimowymi mnichami, wpłynęły na mój obecny kształt warsztatu.

Przede wszystkim obcowanie z tym gatunkiem sztuki sakralnej, przez lata poszukiwań, dotyku, wpatrywania się w moc tych prostych dzieł – ukształtował mnie jako artystkę. Kiedy otrzymałam dyplom mistrza pisania ikon zrozumiałam, że właśnie przez obcowanie z drewnem i naturalnymi barwami, mogę złożyć w całość spójny obraz dla człowieka z określonym wyobrażeniem. Złożę dla niego drzwi z kluczem. Drzwi drewniane, drzwi barwne jak nasze życie. Przez ciszę i namiętność, jaką odkrywam w rytualnej drodze mojej pracy z ikoną wierzę, iż mam kontakt z tą energią i z tym światem, który otwiera się nie wszędzie i w każdym momencie, nie każdemu i o każdej porze. Tworząc ikonę dotykam sacrum. Praca nad nią to moje katharsis....Po prostu tworzę drzwi. Jeśli chcesz mieć swoje własne przejście na drugą stronę, nawiązać kontakt z Wielkim Niebieskim, jestem gotowa pomóc przejść przez obraz, w drewnie, w naturalnych pigmentach, w dobrej wierze i z piękną intencją na wspólną drogę, drogę Twoją i Twojej ikony, Twoich drzwi na drugą stronę...Moja prababcia urodziła się w Bóbrce w 1925r. Na Podolu. 30 km od Lwowa. Dziadkowie jej byli kolonistami niemieckimi. Ona urodziła się już w Polsce. Ojciec był komendantem posterunku policji w Bóbrce. Z czasem nie podpisał tzw. Listy Volksdeutsche i poszedł na wojnę z Armią Andersa jako Polak, zginął pod Monte Casino. Matka, została z dziećmi w majątku. Jednak za ukrywanie na strychu trzech Żydów, musiała uciekać by uniknąć śmierci, w efekcie i tak znalazła się w obozie koncentracyjnym w Jaworznie, na Śląsku. Wojnę przeżyła. Życie mojej prababci Bronisławy Treffler, jest bardzo krótkie, bardzo tragiczne, i bardzo tajemnicze. Nie wiele wiem o jej dzieciństwie, młodości, najwięcej o ostatnich latach kiedy już zamieszkała w Witoszowie, blisko swojej matki Małgorzaty, jako matka trójki dzieci, chora na gruźlicę. Z opowieści rodzinnych wiem, że byli rodziną, której wiodło się bardzo dobrze. Państwowa posada, panie do pomocy, duża gospodarka. Prababcia została wysłana do gimnazjum do Lwowa. Tam pobierała nauki w żeńskim gronie, ucząc się dosłownie wszystkiego. Między innymi malowania. Bardzo chciała po szkole średniej podjąć naukę na Akademii Sztuk Pięknych. Nie zdążyła... Wojna pokrzyżowała plany... Nie wiem

jakie były jej losy podczas wojny. Wiem, że w czasie wędrówek zakochała się w przystojnym Bronku. Jako przesiedleńcy osiedli w Witoszowie, na Dolnym Śląsku, pod Wrocławiem. Mąż okazał się mało dobrym mężem. Ciężka praca dla tak wątłego zdrowia artystki, okazała się wyrokiem. Zapalenie płuc po wymyciu okien, sanatoria, tajemnicze maści, lekarze – okazali się bezradni. Zmarła mając 33 lata, zostawiła po sobie trójkę dzieci, między innymi moją pięcioletnią babcia, mamę mojej mamy. I jeszcze coś...niedokończony obraz, anioła. Obraz ten zaginął...ale pewnego dnia, w ważnej chwili mojego życia, przyśnił mi się! Kiedy skończyłam gimnazjum i liceum plastyczne w moim rodzinnym mieście w Dąbrowie Górniczej, nie za bardzo wiedziałam, gdzie dalej mojej droga artystyczna? Jaka uczelnia? Jaki kierunek? Na czym się skupić? Interesowało mnie wszystko, a jak wszystko, to nic konkretnego. I wtedy właśnie, kiedy dopadł mnie ogromny kryzys, przyśniła mi się prababcia, która pokazała mi swój ostatni obraz, i opowiedziała o swoich marzeniach, o Lwowie, w którym zostawiła swoje serce.

W tym przepięknym śnie zobaczyłam ikonę anioła, i pełen magnetyzmu i artyzmu Lwów. Powiedziałam dobrze, pojedź do Lwowa, naucz się malować ikony, pomieszkać w tym mieście moich przodków, to jest moje wiano od prababci, to zapewne dzięki niej w moim sercu jest ta iskra, która nie pozwala mi przestać malować. Odszukałam wizerunek tej ikony, i zrozumiałam! Tak to będzie Lwów i to będzie szkoła malowania Ikon. Taka prawdziwa, nie na niby, nie niedzielna szkółka, studia. I tak dzięki prababci odnalazłam siebie. Dostajemy od przodków coś dużo cenniejszego niż majątki, dostajemy geny! I teraz Lwów jest już mój, nasz. Mój i prababci Bronki!

MM: Pani Patrycj, Ikona to symbol wierzącej osoby?

PO: Absolutnie nie. Ikona to przede wszystkim symbol wierzącej osoby a co dalej, to każdy znajduje dla siebie przestrzeń w symbolach ukrytych w ikonie. Znam osoby, które zamawiały ikony, choć całe życie nie identyfikują się z żadną religią i całe życie poszukują znaków, znaczeń, śladów, swoistego sacrum. Ikona pomaga im w dotykaniu tego, co dla nich jest ważne. Ikona to intymny obszar. Nie wolno jej rezerwować i zamykać na konkretne emocje czy wierzenia.



MM: Czy zdradzę tajemnicę jeśli zapytam o ilustracje pani Patrycji do książki znanego poety?

APO: Nie, nie jest to tajemnica. Patrycja wraz z Jarosławem Mikołajewskim, wielkim poetą, przyjacielem, stworzyli piękne dzieło, książkę literacką, bajkę dla dorosłych. Tekst jest oczywiście Jarosława, ilustracje Patrycji. Zapewne sami opowiedzą o tym wiele ciekawych historii, emocji, pozostaje mi serdecznie zaprosić do Bukowca na festiwal. Ale i nie tylko na festiwal. Dodam, iż w ramach wernisazu Patrycji przybędzie ze Lwowa chór z Katedry Ormiańskiej wraz z dyrygentem Andrejem Szkrabiukiem i to z nimi zaśpiewa sama artystka, która podczas studiów we Lwowie była członkiem tego chóru. Szykują

się w Bukowcu pokłady dobrych emocji. Jednak jeśli ktoś nie lubi tłumów, szumu wokół tej jednak wymagającej skupienia sztuki, może skorzystać z indywidualnych warsztatów pisania ikon, na które można już bezpośrednio z Patrycją, indywidualnie umawiając się.

MM: W sierpniu 2021, planowana jest wystawa ikon pani Patrycji, w ramach Festivalu Dell Arte w Ornamental Farm Bukowiec. Proszę coś więcej opowiedzieć o tym festiwalu i miejscu, w którym się będzie odbywał.

APO: W sercu Sudetów leży kraina, jak napisano w Internecie, gdzie można podziwiać wspaniałe krajobrazy, a także odkrywać zabytki. Samych zamków, pałaców oraz dworów jest tu około trzydziestu. Dlatego też na początku XIX wieku obszar ten nazywano „Śląskim Elizjum”, porównując go do zamków i pałaców nad Doliną Loary we Francji. Swoje rezydencje zakładały tu najświetniejsze rody europejskie. Oprócz arystokracji przybywali to artyści, filozofowie oraz miłośnicy przyrody (np. Fryderyk Chopin, Johan Wolfgang von Goethe, John Quincy Adams). Większość rezydencji jest wpisanych na Listę Pomników Historii

(najwyższe wyróżnienie w Polsce) oraz są podjęte działania zmierzające do wpisania Doliny Pałaców i Ogrodów na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO. Kluczem określającym kryteria wpisu był krajobraz kulturowy związany z rezydencjami szlacheckimi, otoczonymi rozległymi parkami romantycznymi, stanowiącymi w XIX wieku jednorodną całość.

Festival dell'Arte w Dolinie Pałaców i Ogrodów to spotkanie ze sztuką na najwyższym światowym poziomie, połączone z magiczną atmosferą zabytkowych założeń rezydencjonalnych Kotliny Jeleniogórskiej. Jest to obowiązkowy punkt w kalendarzu miłośników sztuki z Dolnego Śląska i nie tylko. Wszystkich miłośników sztuk wszelakich zapraszamy do Kotliny Jeleniogórskiej, tradycyjnie już w drugiej połowie sierpnia w 2021.

Patrycja na swojej wystawie w trakcie kolejnej czwartej już edycji wspomnianego Festiwalu w przyszłym roku, będzie mogła pokazać swoją duszę, talent ale i przede wszystkim mistykę tej dziedziny sztuki. Jestem bardzo ciekawa tych dzieł, wiele z nich ukrywa przed wszystkimi, te pokazane na wernisażu będą odbiciem jej uczuć i emocji, kobiety z tego etapu w jej życiu.



Zdjęcie: z arch. A. Obarewicz



E w a

M i c h a ł o w s k a - W a l k i e w i c z

P o l s k a

Górki Klimontowskie

Nad Doliną Koprzywnianki

Górki Klimontowskie to wieś, położona w województwie świętokrzyskim w powiecie sandomierskim. Górki pierwotnie nosiły nazwę Klimontów. Po założeniu Klimontowa na pobliskich gruntach

wsi Ramuntowice, czego dokonał Jan Zbigniew Ossoliński w roku 1604, pojawiła się nazwa Górki. Oficjalnie w dokumentach nazwa ta zaistniała w XVIII wieku, a pochodzi najprawdopodobniej od wzgórz górujących nad Doliną Koprzywnianki.

Pierwszy właściciel

Założycielem Górek (Klimontowa) był w XIII wieku Klemens z Ruszczy. Kasztelan krakowski, doradca Bolesława Wstydliviego. W XV stuleciu, Górki nabyli Ossolińscy herbu [Topór](#), mający swą główną siedzibę w [Ossolinie](#). Pierwszym właścicielem Górek z tego rodu był dworzanin Władysława Jagiełły, Jan noszący nazwisko Ossoliński, który zmarł w roku 1436. Po Ossolińskich wieś Górki, w 1650 roku przeszła w ręce Samuela



zdj. www.klimontow.net



Kalinowskiego, pieczętującego się herbem Kalinowa. Kolejnym właścicielem Górek, była rodzina Morsztynów, a potem należała ona do księcia Janusza Aleksandra Sanguszki, herbu Pogoń Litewska. Od 1760 roku, wieś Górki była w posiadaniu rodu Ledóchowskich herbu Szaława. W Królestwie Kongresowym, istniała jedynie Gmina Górki, w której istniało 15 domów i 213 mieszkańców.

Znaczący majątek Górek

W skład majątku wchodził przede wszystkim browar, olejarnia, pięć młynów wodnych do mielenia zboża, a także młyn do mielenia gipsu, piec wapienny, cegielnia i prosta dymarka. Na terenie dóbr eksploatowano też pokłady kamienia budowlanego, wapienia i gipsu. Pierwszy pałac w Górkach usytuowano na jednym ze wzgórz klimontowskich na początku XVII wieku. Dokonał tego wojewoda Kacper Ossoliński. Spędził w nim ostatnie lata życia. Niewiele o tej budowlu wiadomo. Jak głosi stara legenda, ów Kacper zakochał się w pięknej Halinie Gołębiance, z którą z racji jej niskiego pochodzenia nie mógł się ożenić. Podobno zamówił on u znanego malarza mnóstwo jej podobizn malowanych na płótnie, które

porozwieszał we wszystkich pokojach. Rozmawiał z nimi, a jedną podobiznę zabierał ze sobą do komnaty sypialnej. Z czasem zyskał miano *Szalonego*, ale ludzie wiedzieli, że to nie obłąd a jedynie prawdziwa miłość. Od 1760 roku przez ponad wiek, wieś była we władaniu Ledóchowskich. Starszy brat kardynała Ledóchowskiego Julian, rozpoczął rozbudowę istniejącej tutaj rezydencji. Prawdopodobnie rozbudowa prowadzona była według projektu wybitnego architekta Henryka Marconiego. Dodatkowo powstały tutaj dwie wieże. Julian rozbudowy nie dokończył, zmarł bowiem będąc na wyjeździe w Dreźnie w 1859 roku. Za jego życia powstał jeszcze wokół pałacu park na wzór angielskiego z wieloma rzeźbami i romantycznymi grotami.

Postanowienie Karoliny Ledóchowskiej

W 1861 roku hrabina Karolina Ledóchowska zniosła w dobrach klimontowskich [pańszczyznę](#). Na pamiątkę tego kazała odlać napis umieszczony na jej domu brzmiący „Boże, wspieraj nas, w Tobie nadzieja nasza” z jednej strony, a z drugiej „pamiątka zniesienia pańszczyzny w 1861 roku, dobra Klimontowskie”. W roku 1881 dobra

klimontowskie od Ledóchowskich zakupił Stanisław Karski, właściciel majątku Włostów pod Opatowem. Wówczas Górki liczyły 20 domów i 215 mieszkańców. Do dworu należało 519 mórg ziemi ornej, a do włościan 164 morgi. We wsi również znajdował się młyn wodny. Karski włości w okolicach Klimontowa przekazał swojemu drugiemu synowi Włodzimierzowi, który zamieszkał w pałacu w Górkach. W latach 1895–96 rezydencja została gruntownie przebudowana przez architekta Władysława Marconiego, syna Henryka. Zmodernizowano tam wówczas wieżę północną, a w południowej dobudowano attykę. Arkadowe okna zastąpiły okrągłe i prostokątne. W tym okresie powstały też stiukowe dekoracje elewacji wewnętrznych. Pałac nabrał eklektycznego charakteru, a w barokowe wzory wkomponowano renesansowe elementy. Włodzimierz Karski rozbudował w 1896 roku pałac w stylu renesansowym, z dwiema wieżami i obszernym tarasem. W parku w stylu angielskim, założył piękną oranżerię.

Okres II wojny światowej

Ostatnim właścicielem dóbr Górek, był Andrzej Karski. Podczas okupacji hitlerowskiej w pałacu chronili się m.in. partyzanci z oddziału Jędrusie. Pod koniec wojny mieścił się w nim sztab niemiecki. Walki wyzwolenicze, mocno uszkodziły strukturę budynku, powoli pogarszając jej stan techniczny. Po wojnie w roku 1947, duże zniszczenia pałacu spowodował pożar. Spalił się wówczas dach i część stropów. Po odbudowie w latach 80 w pałacu ubiegłego wieku, mieściła się Szkoła Mechanizacji Rolnictwa. Krótko gospodarzem obiektu była również Cementownia Ożarów co spowodowało, że pałac coraz bardziej niszczał. W roku 1994, pałac w Górkach kupili Elżbieta i Andrzej Widuchowie. Obiekt przeszedł generalny remont i odzyskał dawną świetność.



G i t t a

Rutledge

P o l s k a / U S A

Wielkanocna przygoda

Długo oczekiwana wiosna...
podarowała kwiatom nierozwinięte pączki
zakwitają forsycje, choć aura...zimowa
chwytam misternie rzezbione płatki śniegu
spaceruję z maską na twarzy
nikt się temu nie dziwi...
koronawirus straszy
mijam ludzi... w maskach
nikt na mnie nie patrzy...
na nogach mam kiepskie kozaki
z zacinającym się zamkiem pośrodku
idąc, zastanawiam się...
co może przesłonić wartość tego,
co reprezentujemy sobą...w środku ?

przechodzę obok wystawy...
na którą trafiła niezdarza kaczką
ze wstążeczką w kropki
przytulam nos do szyby
wymalowanej świątecznie
w jajeczki, jajeczka i łączki
puszczam perskie oko
do śmiesznej kaczuszki
nieco zawstydzona
szepcze do mnie szczerze
wiem, że nie jestem ładna,
ale uszczęśliwię tego,
który mnie wybierze...
RADOSNYCH ŚWIĄT - dodała
kaczuszka potrafi rozmawiać
ze zdziwieniem pomyślałam...
już wiem ...
jak zakończy się wielkanocna przygoda
zapewne,nikt nie kupi brzydkiego kaczątka
jutro... zabiorę ją do domu
gdy serce szlachetne...nieważna uroda...
Gitta Rutledge

No storm can last forever

Pełnia księżyc...mnóstwo gwiazd
rozświetla nieba granat
Koronawirus spłoszył nas
Noc zatrzymuje w domu
Ogród... jedynym oknem na świat
Przydał by się każdemu
W ogródku smuga poświaty lamp
Rozświetla duet kamiennych dam
Uwielbiam je...niczym Pigmalion swoją Galateę
Jest smutno w wielu samotniach
gdy tylko na KAMIENNE towarzystwo próbujesz liczyć,
bo innego... nie masz
Na szczęście...
No storm can last forever

Z pokorą oczekujemy tego...co było
Doceniamy przeszłość,
Która nagle...się skończyła

Gdy powróci „normalność”
Na pustyni życia
Docenimy jeden drugiego
W pandemii... najłatwiej odróżnić
Serca obdarzone empatią...
Od serca... KAMIENNEGO...
Gitta Rutledge

Bezpowrotnie...

Bóg nie stworzył nas po to
Byśmy trwali sami
Nawet łabędzie pływają parami
Rozwodzimy się
po wspólnych dziesięcioleciach
by natychmiast...
rozglądać się za partnerem
do wspólnego życia...

gdy swoją stratę przebolejesz,
oprzytomniejesz, wytrzeźwiejesz
gdy obudzisz się z letargu
rozglądnij się... i zauważ
nie tylko... pomiędzy nami
ale, na świecie... całym
to... co było...
bezpowrotnie się skończyło

...b e z p o w r o t n i e...

Wstań...

Przeszkodą...korona wirus
Runęły marzenia?
Nie poddawaj się,zmień azymut
Wybierz bezpieczniejszą drogę
Pokonaj natłok myśli...obawy, lęk...
Potykając się można zejść daleko,
Tylko nie wolno upaść,
I nie podnieść się...

W błagalnym geście,
obie dłonie do Boga wznosisz
Wszchemogący
...nie pozwala długo czekać
Natychmiast odpowiada...
Wstań...
Nie ważne ile razy upadasz,
Ważne jest tylko,
Ile razy się podnosisz...

Pandemia...

Nieszczęsny wirusie...

Ty nawet złocistym gwiazdom odebrałeś blask
Tęczy.... kolory
Dni pozbawiłeś sensu,treści...wieczory
Chanel o5... utraciło zapach
Dusze napełniasz lękiem,wiemy...co to strach
Potrawy... bez smaku,melodie... bez dźwięku
Pytam otwarcie...nie skrycie...
Kto dał ci pozwolenie, by w tak bolesny sposób
Rewolucjonizować...nasze szare, codzienne życie ?
Gitta Rutledge

Najlepszy motywator

Ojciec Święty Jan Paweł II mówił...

„Niech się dobro szerzy
Zło...na zawsze odejdzie
Niech zapanuje miłość
Dobro i szczęście”

Niech nie będzie obojętny
Los tego, kto...
w kwarantannie na pomoc czeka
Jak najczęściej, wśród ludzi
Odnajdujmy...CZŁOWIEKA...

Zarówno wrogów...jak i nieprzyjaciół
Obdarzajmy...dobrem...
Może potrafią zrozumieć,
Że zawiść, krzywda, nienawiść
Zamierzonego skutku nie przynosi
W zamian...

Jest najlepszym motywatorem

Gitta Rutledge

„Bez skazy”

...blask słońca, całował gładką tafłę rozległego jeziora
cisza wokół... i trzcina, przysłaniająca utopijne marzenia
dzikie kaczkę w oddali...

zaproszenie na kajak, skradziony pocałunek,
melodie płynące z głośników...i plaża...
tak romantyczny dzień...niezbyt często się zdarza

„czy masz chłopaka?”...zapytał

zauroczenie ...

codzienny kontakt i randki,
których wciąż było nam... mało
„pojednawcze kamyki”,
celowane w okienko pokoju na piętrze,
gdy cokolwiek się...nie układało

niesiona wiatrem, pędziłam do Ciebie na skrzydłach
niczym pegaz... z niewoli uwolniony
wpadałam w Twe silne ramiona
przyjmowałam pojednawcze bukiety róż
uśmiechnięta...uszczęśliwiona...

przeżywalismy różne momenty
dzisiaj...pamiętam tylko te wspaniałe...
godzenie Twej pracy... ze studiami..
skromne mieszkanko, które nam... wystarczało
narodziny upragnionego synka
który rączki miał... spore,, ale ważył tylko 2.400
i wyglądał, jak słodka, bezbronna, mała kruszynka

minęło ponad pół wieku,
gdy nagle zamknąłeś księgę życia Swego
niech każdy mówi...co chce
mnie jest zupełnie obojętne, czy komuś podoba się to...czy...nie...
byłeś i na zawsze pozostaniesz... moją PIERWSZĄ MIŁOŚCIĄ
w zadumie i wspomnieniach...nadal będę czytać Twą księgę,
nawet... wiele razy...
dopiero dzisiaj rozumiem...
iż nie istnieje człowiek, nie popełniający błędów i dzieło sztuki...bez skazy

do zobaczenia Jerzy
kocham Cię

Pisarka i poetka **GITTA RUTLEDGE**, jest przedstawicielką trzech wielkich kultur – polskiej, żydowskiej i amerykańskiej. Jej barwne, ale nie pozbawione dramatu życie, toczyło się na trzech kontynentach – w Azji, Europie i Ameryce Północnej. Poetka urodziła się...w Czelabińsku. Jest to miasto usytuowane w paśmie gór Ural, położonych... na pograniczu Europy i Azji. W poznańskim Studium Medycyny ukończyła Wydział Elektromedycyny. Działalność literacką rozpoczęła na Manhattanie, gdzie zamieszkiwała podczas emigracji, trwającej niemal cztery dekady. W roku 2009 powróciła do Polski. Artystka, jest członkinią prestiżowego, zawodowego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie (UK) Od 2013 roku przynależy do - Stowarzyszenia Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów Polskich w Malmo (Szwecja). Kolejnym etapem jej literackiej drogi, było przyjęcie pisarki w 2014 roku - w poczet członków Zrzeszenia Literatów Polskich im. Jana Pawła II w Chicago (USA). Artystka, jest twórczynią kilku gatunków sztuki literackiej – (liryka, powieść, satyra, literatura dziecięca, opowiadania).

W 2015 roku Gitta Rutledge wydała obszerną powieść autobiograficzną - „Podróż przez życie”, którą do druku, bardzo starannie przygotowało - Wydawnictwo Empi 2 z Poznania. Pisarka i poetka odbyła wiele spotkań autorskich, podczas których omawiana książka, podobnie jak liryka jej autorstwa, cieszy się aplauzem czytelników.

Z okazji jubileuszu X lecia pracy literackiej Gitty Rutledge – w 2017 roku na rynku wydawniczym ukazała się książka jej autorstwa zatytułowana – „Blaski”. Twórczość zarówno poetycka jak i prozatorska tej poetki i pisarki, reklamowana i publikowana jest... w Almanachach, Antologiach i wielu periodykach, takich jak - Pamiętnik Literacki, Polska Gazeta, Arena, Miasteczko - Poznań, Listy z daleka, Okolice Poetów, Myśl Literacka, Gazeta Kulturalna, Horyzonty, Spojrzenie, Metafora, Przyjaciółka, Quo Vadis...

Od kilku lat, artystka poważnie choruje, ale nadal stara się być aktywną zawodowo, a ostatnio jej twórczość znalazła miejsce w kilku Almanachach.



Z listy wspomnień



Bolesław Bieniasz

Belgia

Stara Baśń należała do moich ulubionych książek. Często powracam do niej w myślach. Po wielu latach znów przeczytałem Lalkę Prusa. Pozostaję pod wrażeniem tej relektury. Nie przewidziałem, że w zamieci wydarzeń – ot tak – zginą mi aforyzmy Leca. Wróciły jednak bumerangiem... łapiąc po drodze moje własne słowa.

1 Zagłuszanie sumienia wymaga stałej i konsekwentnej pracy nad sobą.

2 Walący się dom trudno nazwać nieruchomością.

3 Nieszczęście ludzi zbliża. A szczęście?

4 Nie zachowujmy ciemnych myśli na czarną godzinę.

5 Niektóre sprawy tak ośmieszono, że aż płakać się chce.

6 Żeby dojrzeć, trzeba niekiedy przekwitnąć.

7 Najlepszym środkiem uspokajającym jest dobrobyt.

8 Kiedy przybywa rozumu, zaczyna brakować sił. Natura chroni nas przed utratą równowagi.

9 Nie kłam zbyt często, by ktoś mógł ci – jeszcze czasem – uwierzyć.

10 Trwanie w rutynie, to jakby zboczenie z drogi.

11 Jedni udają naiwnych, drudzy nie muszą, mając to we krwi.

12 Wyjąć kilka słów z kontekstu i, niby « przez nieuwagę », wetknąć je w inne miejsce.

13 Niekiedy słabość innych ułatwia nam przeprowadzenie własnej woli.

14 Jeżeli wasze życie wisi na włosku, postarajcie się o dobry szampon.

15 Milczenie, podobnie jak mowa, też może być pozbawione sensu.

16 Kiedy stoisz u lekarza na wadze, wciąganie brzucha jest nadaremne.

17 Szukając miłości, często zadowalamy się własną.

18 Czego się Jaś nie nauczył, tego nauczyła go Małgosia.

19 Ścinając drzewo zasłaniające ci las uważaj, aby ci nie spadło na głowę.

20 Ludzie boją się śmierci. Nie lubią zmian.

21 Zajmijmy się konkretnie abstrakcją.

22 Ten słynny malarz ożywił martwe natury.

23 Nie trzeba być cudotwórcą, by zrobić z igły widły.

24 Pisarze żyją z pióra. Hodowcy z piór gęsi.

25 Osobę leżącą też można wytrącić z równowagi.

26 Człowiek nieuczesany niekoniecznie jest rozczochrany.

27 Pies biegnący tropem nie zawraca sobie głowy niczym innym.

(fragmenty)



Henryk

Musa

Polska

Wieczory oczekiwane, i te nie chciane. Różne sa wieczory. Zimą długie, latem krótkie, ale zawsze wieczór ma swój urok. Tylko nie zawsze jak i dzień nie zdarza się taki sam, lecz jest zawsze inny. Inne były wieczo – ry na obozach harcerskich przy ognisku, inne w wojsku; inne z dziewczyną, jeszcze inne w Konarzynach. Ja już wchodzę w wieczór mego życia.

Co wieczór zdajemy sprawę z przeżytego dnia, czy dobrze przeżyliśmy ten dzień, czy był spokojny, radosny, czy niedobry. Czy możemy spokojnie mówić: wszystkie nasze dzienne sprawy przyjmij Boże prawy. A gdy będziem zasypiali, niech Cię nawet sen nasz chwali.

WIECZÓR

świeci księżyc
srebrne świecidełko nocy
z kozią bródką malowaną pędzlem
maczanym w atramencie przedświt
gwiazdy rozsypane jak kawałki słońca
płonie rzeka jak oczy świtu
krzyk snu i echa świata
krajobrazy syntezy przeżytego dnia
dziewczęcy śpiew rzenie koni
pył pojazdu otula w ciszę
zapach lasu jak młode wino
puste miejsca wołają
drży powietrze i serce
wymieniam swój krajobraz
na kamienne miasto
droga pusta i zimna
moje jutro daleko stąd

EMANACJA WIECZORU

za ścianą wyłożoną jedwabiem wieczoru
łagodna kojąca cisza
widok cichy i spokojny
oświetla pызatego księżyc
przez otwarte okno wchodzi do pokoju
powietrze pachnące
wszystkimi wonnościami nocy
mknie przez noc jak po moście
blisko nad głową ciemny firmament
jarzy się wesołymi błyskami gwiazd
oczy zatopione w szarym zmierzchu
w powietrzu wisi wielka dostojna cisza
jak emanacja dojrzałego wieczoru

ZMIERZCH MIASTA

przez okno wpadają
ostatnie promienie światła
niczym reflektory oświetlające scenę
w niepokojącej ciszy
rozlega się spóźnione
gniewne mamrotanie gazów
w rurze wydechowej
pędzącej klaksonem taksówki
rozplywającej się w krainię baśni
kamienne ściany pną się w górę
na tle zapadającego mroku
drzewa rzucają plamy cienia
na wilgotnej czerni mroku
zamazane kolorowe plamy neonów
pojawił się księżyc jak rogalik
z blaskiem obietnicy nadziei

WIECZOR

galopem ciężkim przed wichurą
pierzchają wojska chmur rozbite
za oknem szare szmatki nieba
mają barwę antracytu
krzyk ściśniętego ptaka
głucho ciemną przyzywa noc
w nocy przyływ bije o brzeg
zagniewanymi falami
daremna skarga w mroku
płyń adagio
gwiezdno – muzycznej magii
mrok jak kot nad śpiącym miastem stanął
powoli wieczór w noc się zamienia

ZACHÓD

błękit pełen martwej goryczy
zachód niesie zagładę chmurom
w szumiące morze gwiazdy spadły
wieczór otula ogródki
tchnące snem i legendą melodyjną
z ciemnego nieba spadł śnieg biały
noc-niezmierna, gwiaździsta
puszysty śnieg, za oknem gwiazdy
śnieg, narasta cisza, pełnię mrok
w przeblysku nam zaświeci potem mrok
gwiazdy i morze to mało
miłość przy mnie
płynąc falą woni i snu
jak zielen rozdokazywanego maja
czemu nocą nie możesz spać
noc głucha, wierna powiernica
to okręt sennych oceanów
głowa w gwiazdach
tonie w mroku stróż
z czoła gwiazda spadnie
gdy odleci poza bytu kres

WIECZÓR

galopem ciężkim przed wicherą
pierzchają wojska chmur rozbite
za oknem szara szmatka nieba
ma barwę antracytu
krzyk ściśniętego gardła
głucho ciemną przyzywa noc
w nocy przyplływ bije o brzeg
zagniewanymi falami
daremna skarga o zmroku
płynie adagio
gwiezdno – muzycznej magii
mrok jak kot nad śpiącym miastem stanął
ponuro wieczór w noc się zamienia
zасыpiający cicho dzień
lampy wysysają mrok
świecąc jak mosiężny talerz
sen złoty łączący po drzewach
czarne niebo biała rzeka ulicy
spiętrzone skały domów
ulica ciemny wąwóz
wśród zgasłych w śnie kamienic
rzadko świecą konstelacje okien
srebrzystobiały sierp młodego księżyca
wejść w odpoczynek jak w ciepłą kąpiel
noc zwycięża godziny na zegarze

MROK

złote czółno księżyca
pojawia się na niebie
zapatrzonym w bezmiar czasu
godziny które odlatują
jak ptaki w przeszłość
smukłe kolumny mroku
przelewające się gwiazdami
nade mną lampa
z czarną grzywą nocy
chłodne światło północy
milczeniem otula mnie szczególnie
oddycham o świcie brzoźowym popiołem
bezsennego świtu
o poranku w milczeniu
patrząc na zamglony krajobraz
zapominam o powrocie

WIECZÓR

zасыpiający cicho dzień
zmrokiem podchodzi
do ziemi przypada łagodny zmierzch
pełen ciszy zapachów przywiewanych
z pól i lasu za srebrną rzeką
górami polatuje skowronek głośny
łobuzerski w swym rażnym śpiewie
wieczór dojrzewa w bezgłośnym powiewie

WIECZÓR W POKOJU

do pokoju wszedł wieczór
ciemne plamy mebli w przejrzystym pokoju
od nocy chroni lampa na biurku
wyspa światła w ciemności
twarz ciemnością dotykam zapachu
zmierzch zapalił się latarnią za oknem
okna domów świecą rzędami
wieczór oddzielony ścianami
od gwaru miasta
od ciemności w pokoju zrobiło się duszno
ciemność zwolna oddziela od ciężaru dnia



Bożena
Sroka

Polska

Pocieszenie

Jeszcze będzie cudownie, zobaczysz!
Jeszcze życie nas zaskoczy,
Jeszcze do góry wzniesiesz oczy
I dostrzeżesz słońce.

Jeszcze będzie cudownie, zobaczysz!
Jeszcze ptaków usłyszysz śpiewanie,
Jeszcze znajdzie się ktoś, kto czule
Z policzka zetrze ci łzę.

Jeszcze pod rękę pójdziemy na spacer,
Jeszcze spotkań sporo przy kawie,
Jeszcze muzyk zagra na rynku
Wśród zgiełku rozmów i głośnego śmiechu.
Zobaczysz, jeszcze będzie ... MY!

Maj 2020

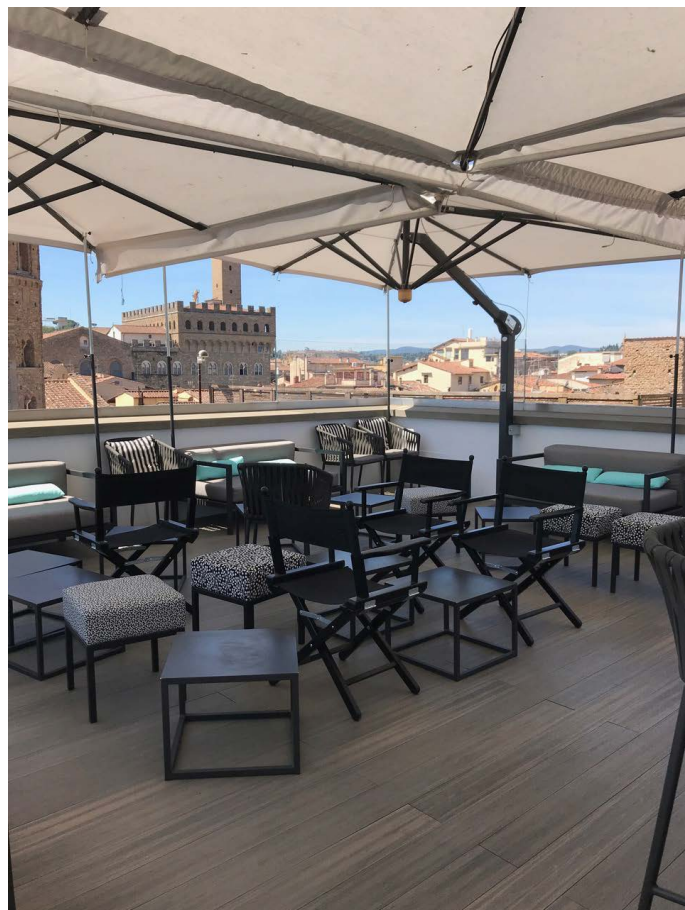
Włochy



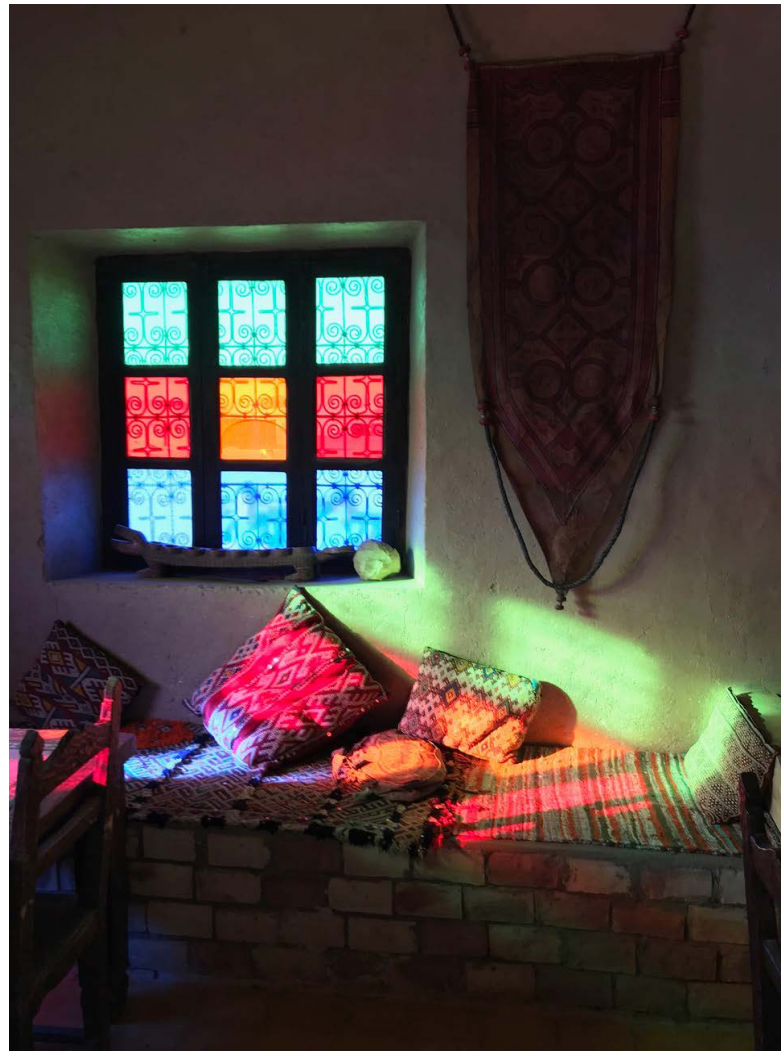
Stefan
Godecki

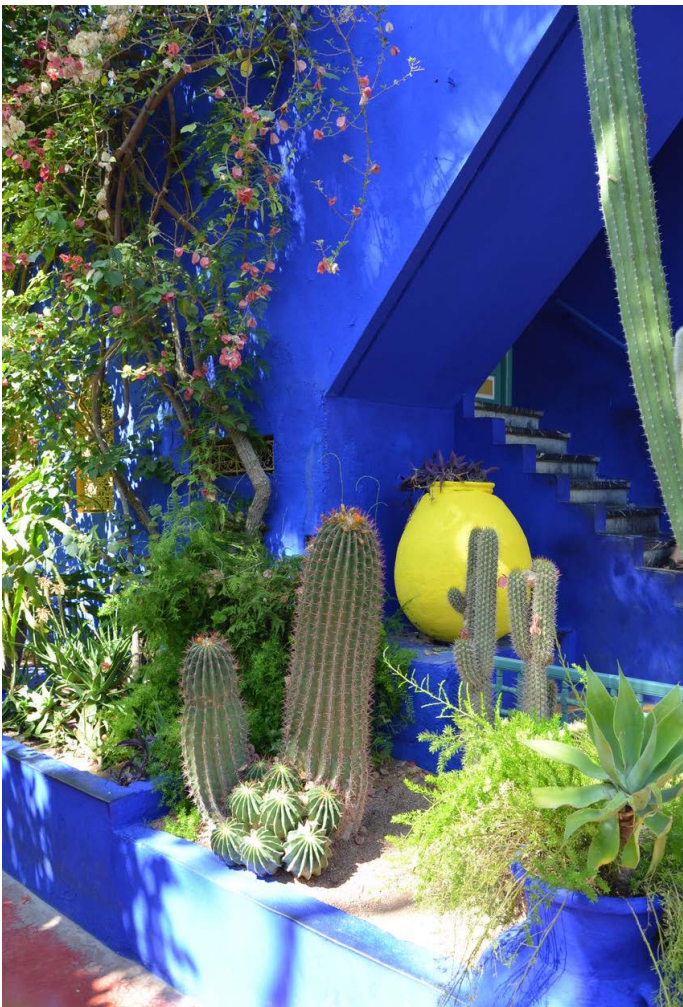
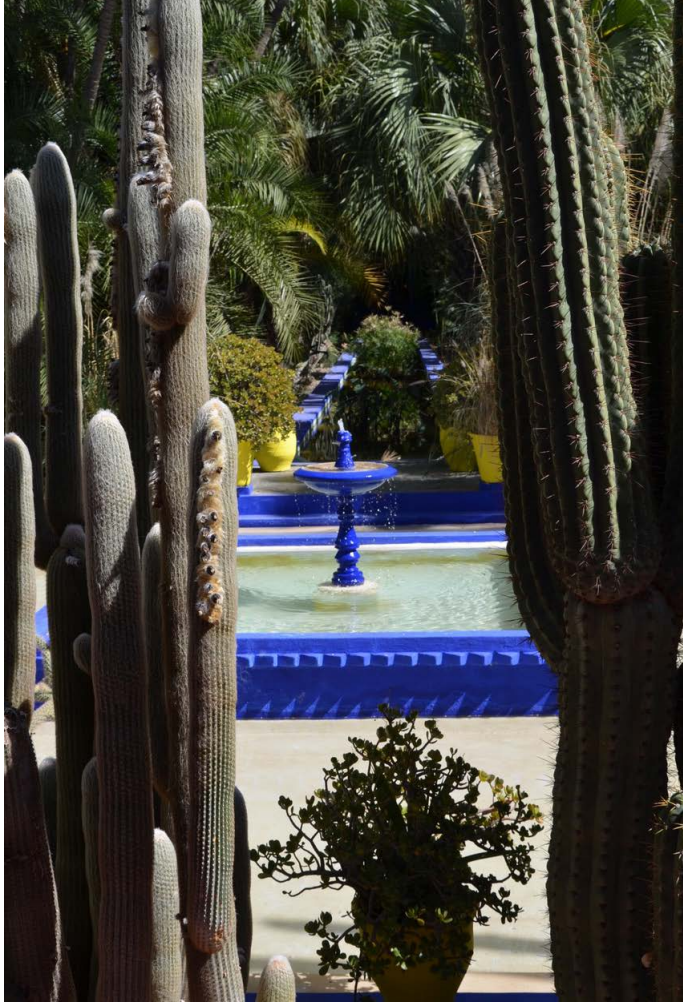
Polska

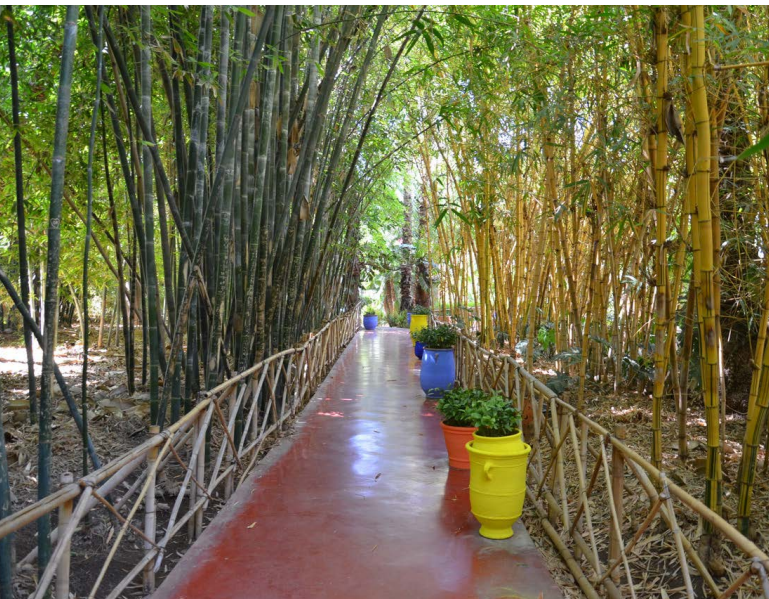
Pusta Florencja i zesztoroczne wakacje w Maroku



Maroko









Bożena
Sroka

Polska

„Corona”

Wśród tragedii tysięcy ludzi
Wśród opuszczonych zasłon i głów
Trwamy,
choć bezsilni,
choć bezradni, smutni
i zmęczeni - to trwamy.
Wśród wszechobecnej rozpacz,
wśród opustoszałych nagle ulic i bram,
wśród parków wiatrem tylko zamiatanych,
karawany, karawany życia cienie
w przenikliwej ciszy ... czekamy.
B.Sroka wiosna 2020

„Nie Kocham”

Nie Kocham cię już,
nie ma mnie tu z tobą
choć obok stoisz
i ręka drży i rzęsy też.
Nie Kocham cię już,
nie widzę ciebie nawet,
strzepuję nasz dzień
jak pyłek z rękawa.
Coś mówisz, ustami ruszasz wciąż,
nie słucham ciebie już,
strzepuję twoje słowa
jak wodę mokry pies.
Nie Kocham cię już,
to pewnie już wiesz
zabrałam torebkę
i klucze rzuciłam gdzieś.
Nie, nie zostanę,
każda świeczka kiedyś wypala się.
Za rękę nie łap mnie.
Przestałeś już dawno
kochać mnie.

Miłość

Ugoszczę cię miłością jak chlebem,
utulę każdy skrawek ciebie,
i poczekam aż przestanie padać deszcz.
A może nie, bo lubię deszcz....
Zabiorę cię w podróż po moim świecie
I poniosę twoją z marzeniami torbę.
I ugotuję ci zupę z ... róż.
Napiję cię miłością, od serca,
pozwolę ci płakać do wypłakania łez,
poczekam też aż przestanie padać deszcz
i zobaczę w twych oczach tęczę .

Dwa słowa

Nie wiem jak,
nie wiem gdzie
za rękę trzymaliśmy się,
dwa słowa ważne
padły na wietrze
pokochaj mnie!
Nie wiem gdzie
i nie wiem jak
te słowa dwa
prosto w serce
rzuciłeś na wietrze
zapomnij o mnie!

Ślady

Na chodniku rozlana
kałuża z twoich łez,
którą wiatr osuszyć chce.
Ty zgarniasz nieporadnie z dróg
ślady swoich stóp.
Nie chcesz zostawić nic nikomu,
niczyich braw, zabliznionych ran,
własnych zrad
i marzeń niespełnionych.
Zgarniasz niezdarnie spod nóg
ślady swoich stóp.